

BIULETYN

informacyjny



ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
OKRĘGU WIELKOPOLSKA

NR 4 (23)

POZNAŃ

GRUDZIEŃ 1995

4/95 (23)

SPIS TREŚCI

NOMINACJA GENERALSKA płka HENRYKA KOWALÓWKI	
b. Komendanta Okręgu Poznań Armii Krajowej	2
I. Z ŻYCIA OKRĘGU, ŚRODOWISK, ODDZIAŁÓW I KÓŁ	
1.1. Uroczystość „Dnia Weterana”	4
1.2. Odwiedziny Ziemi Lidzkiej — Stanisław Szniگیر	5
1.3. Zebranie sprawozdawczo-wyborcze Koła SZŻAK „Zawisza” w Krobi ..	6
1.4. Izba pamięci w Gułtowach	7
1.5. Dziękujemy Poczcie	8
II. MATERIAŁY HISTORYCZNE (wspomnienia i relacje)	
2.1. Akcja „Burza” Zgrupowania Stołpecko-Naliborskiego (Część II) — Longin Chimorodo	9
2.2. Powstańcze wspomnienia	13
2.3. Nasz ostatni dzień Powstania ... i dalsze losy — Marian Jan Potograbski	16
2.4. Konfrontacja Armii Krajowej z wkraczającą Armią Czerwoną w latach 1944-1945 — Józef Modrzejewski	23
2.5. Moje spotkanie z płk. Janem Ziętarskim „Mieczysławem” — Tadeusz Maćkowiak	36
III. Z REDAKCYJNEJ POCZTY	
3.1. Przesyłka z USA	46
IV. INFORMACJE I KOMUNIKATY	
4.1. Wykaz środowisk organizujących obsługę Mszy św.	48
4.2. Informacja Komisji Socjalnej	49
4.3. Kronika żałobna	51

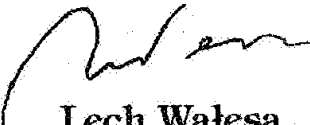
**PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**

**AKT
mianowania na stopień generała brygady**

**Na podstawie art. 76 ust. 4 w związku z art 77 ust. 2 ustawy
z dnia 21 listopada 1967 r. o powszechnym obowiązku obrony
Rzeczypospolitej Polskiej**

**mianuję pośmiertnie
na stopień generała brygady**

pułkownika Henryka KOWALÓWKĘ


Lech Wałęsa

Warszawa, dnia 11 listopada 1995 r.

NOMINACJA GENERALSKA

b. Komendanta Okręgu Poznań Armii Krajowej



General bryg. HENRYK KOWALÓWKA („Ska-wa”, „Oset”, „Topola”, „Dziedzic”, „Profesor”, „Zrąb”) urodził się 5 stycznia 1897 r. w Brzeźnicy koło Wadowic. Ojciec — Franciszek był rolnikiem, matka — Marianna z Ciepłych. Uczęszczał do seminarium nauczycielskiego w Krakowie. Służbę wojskową rozpoczął w armii austriackiej, a od r. 1914 był żołnierzem I Brygady Legionów. W Wojsku Polskim w 1928 r. został majorem. Na początku lat trzydziestych służył w Dowództwie Okręgu Korpusu VII w Poznaniu, jako komendant Wojska Polskiego, a później pełnił taką funkcję na Śląsku. Następnie był dowódcą batalionu 73 pp w Oświęcimiu. W r. 1939 został podpułkownikiem.

We wrześniu 1939 r. walczył w 73 pp w ramach Armii Kraków. Już we wrześniu tego roku włączył się w organizowanie konspiracji wojskowej w Krakowie i na Śląsku. Organizował Związek Orła Białego, który w październiku 1939 r. został podporządkowany Służbie Zwycięstwu Polski. Został wtedy dowódcą Podokręgu SZP-ZWZ Zagłębia Dąbrowskiego. Przeszedł dwukrotnie rozbięcie sieci konspiracyjnej w r. 1940 przez okupanta, organizując ją od nowa. W r. 1941 Podokręg Zagłębie został włączony do Okręgu Śląskiego ZWZ. Jego komendantem mianowano płk. Henryka Kowalówkę.

W pierwszej połowie 1942 r. katowickie Gestapo przeprowadziło masowe aresztowania w szeregach ZWZ-AK. Zagrożonego płk. Henryka Kowalówkę Komenda Główna przeniosła do Okręgu Poznańskiego AK., mianując go jego komendantem. Komenda działała w Ostrowie Wielkopolskim. Płk Henryk Kowalówka odbudował rozbite przez Gestapo wielkopolskie struktury Armii Krajowej. Zorganizował na nowo WSOP, WSK, WSS, BIP i ośrodki KEDYW-u. Miał do dyspozycji radiostację w Ostrowie. Opracował wycinkowy plan operacyjny powstania, przygotował i uzgodnił z KG AK akcję odbierania lotniczych zrzutów alianckich ze sprzętem wojennym dla Wielkopolski. Realizacja tych zrzutów nastąpiła w r. 1943.

Na nową falę aresztowań w Okręgu, komendant zareagował zarządzając poważne zmiany organizacyjne, oraz przeprowadzenie szeregu akcji odwetowych i dywersyjnych.

Przeprowadził szereg inspekcji komend inspektoratów w terenie, dokonując systematycznej reorganizacji. Podróżował w mundurze kolejarskim, jako rzekomy kierownik pociągów z aktualnymi dokumentami na nazwisko Antoniego Kowalskiego, z nieodłączną torbą kolejarską i akcesoriami. Towarzyszyli mu na zmianę kolejarzy-kurierzy Komendy Okręgu.

22 stycznia 1944 r., na Dworcu Głównym w Poznaniu hitlerowcy ujęli Komendanta Okręgu — spieszącego na zaplanowaną naradę. Po ciężkim śledztwie w Domu

Żołnierza — siedzibie gestapo, w Forcie VII, więziony był w obozie policyjnym w Żabikowie, gdzie 2 czerwca 1944 r. został rozstrzelany, wraz z innymi oficerami AK. Pośmiertnie odznaczony został na rozkaz z Londynu Krzyżem Virtuti Militari IV klasy.

Pułkownik Henryk Kowalówka był najwybitniejszą postacią w historii Poznańskiego Okręgu Armii Krajowej.

*Opracował:
mgr inż. Ludwik Misiek
Wrzesień, 1994 r.*

I. Z ŻYCIA OKRĘGU, ŚRODOWISK, ODDZIAŁÓW I KÓŁ

1.1. Uroczystość „Dnia Weterana”

1 września 1945 r. o godz. 16 odbyło się w Poznaniu spotkanie żołnierzy AK, zorganizowane po raz pierwszy z okazji „Dnia weterana” przez środowisko „Jodła” przy wybitnej współpracy ZO ŚZZAK Wielkopolska. Uroczystość zgromadziła około 120 osób. Oprócz żołnierzy ze środowiska „Jodła” przybyli na nią do kawiarni Urzędu Wojewódzkiego liczni zaproszeni goście: przedstawiciele władz wojewódzkich z wojewodą Poznańskim dr Włodzimierzem Łęckim na czele, przedstawiciele Wojska Polskiego z gen. pil. Franciszkiem Maciołą, kapelan środowisk akowskich ks. kanonik Leonard Poloch, przedstawiciele ZO Wielkopolska z prezesem mjr. Stefanem Ignaszakiem oraz prezesi innych środowisk kombatanckich wraz z delegacjami.

Uroczystość otworzył prezes Środowiska „Jodła” dr Jan Górski. Po powitaniu gości i zebranych akowców poprosił prezesa Zarządu Okręgu o zabranie głosu.

Następnym punktem programu była dekoracja żołnierzy Armii Krajowej odznaczeniami państwowymi, której dokonali: wojewoda dr Łęcki, gen. Macioła i prezes Ignaszak. Odznaczeni zostali:

- Krzyżem Walecznych — Hanna Nowicka ze Środowiska „Pałac”,
- Krzyżem Zasługi z Mieczami — Maria Krzyżańska („Barka”),
- Krzyżami Partyzanckimi: Tadeusz Dziubka, Maciej Garbarczyk, Roman Groszkiewicz, Stanisław Hęcka, Jerzy Karczewski, Józef Lis, Marian Rauhut, Romuald Rogiewicz, Kazimierz Różka, Roman Skoczyła, Zbigniew Skotnicki, Feliks Słomczyński, Mieczysław Starosta, Stanisław Stasiolek, Roman Sypniewski, Zygmunt Ziemiński, Andrzej Foksowicz i Tadeusz Foksowicz,
- Krzyżami Armii Krajowej: Marian Czywczyński, Maria Fromberg, Lidia Jarzemska, Halina Kubacka, Witold Mally, Tadeusz Pindych, Henryk Siemieniuch, Feliks Sikorski, Michał Thiel, Stanisław Wroński oraz pośmiertnie: Józef Woch i Jan Sytek (odznaczenia wręczono rodzinom).

Po dekoracji Wojewoda Poznański przemówił do żołnierzy AK dziękując im za trud i poświęcenie z jakim walczyli o niepodległość Polski, a następnie prezes S. Ignaszak podziękował Wojewodzie za dotychczasową współpracę ze środowiskami akowskimi i wręczył mu album pamiątkowy.

Po części oficjalnej, przy skromnej, koleżeńskej herbatce kol. Wacław Olszewski deklamował piękne patriotyczne wiersze.

1.2. Odwiedziny Ziemi Lidzkiej

Zarząd Oddziału Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Lesznie nawiązał kontakt z Towarzystwem Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej na Białorusi. W wyniku ożywionej korespondencji Zarząd TKPZL zaprosił delegację AK do Lidy.

6 września br. grupa żołnierzy AK, którzy urodzili się na Ziemi Lidzkiej i na Wileńszczyźnie i tam walczyli z okupantem, wyjechała, aby odwiedzić swoje rodzinne strony i miejsca walki. Zarząd TKPZL, z prezesem p. Aleksandrem Kołyszka na czele, przyjął delegację bardzo serdecznie i niezwykle gościnnie. W celu nawiązania bliższych kontaktów z rodakami zakwaterowano gości w mieszkaniach prywatnych członków zarządu.

Program pobytu był bardzo interesujący. Jeden dzień poświęcono wędrowce szlakiem Adama Mickiewicza. Wypełniła go wycieczka do Nowogródka, oddanie hołdu wieszczowi przed jego pięknym pomnikiem, zwiedzenie kościoła katolickiego, w którym poeta był ochrzczony oraz zwiedzenie dworku Mickiewicza, gdzie obecnie jest muzeum. Wycieczka została zakończona nad pięknym, romantycznym jeziorem Świteż (Dla uzupełnienia obrazu życia i twórczości wielkiego poety, w następnym dniu odwiedziliśmy grób Maryli Wereszczkówny).

Drugi dzień — to wędrowka po Ziemi Lidzkiej szlakiem walk Armii Krajowej. Ta piękna Ziemia jest przesiąknięta krwią żołnierzy AK i usiana ich grobami. Weterani tej bohaterskiej armii odwiedzili wiele miejsc heroicznych walk z Niemcami oraz wiele grobów poległych żołnierzy i ich dowódców. Odwiedzili m.in. cmentarz partyzancki w Surkontach, gdzie spoczywa ostatni komendant Okręgu Nowogródzkiego AK „Kotowicz”, oraz miejsce, gdzie zginął i był pochowany legendarny dowódca oddziału partyzanckiego „Ponury” (szczątki jego zostały sprowadzone do Polski).

Polacy mieszkający na ziemi, która przed wojną należała do Rzeczypospolitej, otaczają stałą opieką i wielkim szacunkiem groby żołnierzy AK poległych w walce o wolność ojczyzny. Na szczególne podkreślenie zasługuje to, iż rodacy, mieszkający wśród Białorusinów i Rosjan, troszczą się o zachowanie polskości i walczą z próbami wynaradawiania ich. Działają oni pod duchowym przywództwem Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej i jego wspaniałego prezesa, całkowicie oddanego tej idei, p. Aleksandra Kołyszki.

Towarzystwo, a szczególnie jego zarząd, podejmuje wiele konkretnych działań zmierzających do pielęgnowania mowy ojczystej, tradycji, obyczajów i obrzędów narodowych i o przekazywanie ich młodemu pokoleniu. Towarzystwo każdego roku występuje z prośbą do władz o pozwolenie na organizowanie polskich klas w szkołach białoruskich, o organizację kółek polonistycznych, kursów języka polskiego, itp.

Prezes zwrócił się z petycją do władz, w formie listu otwartego, o zwrócenie Polakom — praktykującym katolikom kościoła, który w czasie panowania komuny został zamieniony na planetarium.

Ludzie, z którymi spotkali się żołnierze AK, zasługują na słowa najwyższego uznania za walkę o zachowanie polskości. Nasi rodacy potrzebują w tej walce duchowego i materialnego wsparcia Polaków mieszkających w wolnej ojczyźnie. Potrzebują wsparcia i pomocy naszych władz, a szczególnie władz oświatowych. Pomoc ta mogła-

by polegać na przysyłaniu dzieciom książek, na zapraszaniu dzieci na wypoczynek na koloniach, obozach wędrownych, itp.

Jedną z wielu form starań Towarzystwa o zachowanie i utrwalanie polskości jest wydawanie biuletynu (oczywiście w języku polskim) „Ziemia Lidzka”. Nadmienić należy, że w Lidzie wg spisu ludności w 1989 roku mieszkało 91.263 mieszkańców. Polaków było 22.478 osób, co stanowi 37,3%. Natomiast na terenie powiatu Polaków było 45,5%.

Oddzielny rozdział to rola kościoła katolickiego w pielęgnowaniu polskości na ziemiach Kresów Wschodnich. Wiadomo, że prawie przez pół wieku panowania komuny na tych ziemiach była prowadzona totalna walka z kościołem i z polskością. Z tych ziem w okresie stalinowskiego reżimu ok. 2 mln Polaków zostało wywiezionych na Sybir względnie do Kazachstanu, a dużo księży wymordowano lub uwięziono. Bardzo wiele kościołów katolickich zamieniono na muzea, planetaria, a nawet magazyny. Wiele kościołów spalono, np. we Wsielubiu k. Nowogródka. Polacy pozostali na swojej ojczyźnie pozbawieni byli świątyń i duszpasterzy, a władze bolszewickie robiły wszystko, aby ich wynarodowić i zlaicyzować.

Pół wieku wysiłków władz komunistycznych, w dużym stopniu zrobiło swoje. Po upadku komuny powstała więc ogromna, historyczna potrzeba przywrócenia Polakom polskości i przywrócenia im, siłą wydzieranej wiary ich przodków. Tę wielką misję podejmują księża i siostry zakonne przyjeżdżające z Polski.

Księża przy pomocy ludności miejscowej i rodaków Ziemi Lidzkiej, rozsianych po całym świecie (zachodnim) odbudowują ze zniszczeń kościoły. Odprawiają w nich nabożeństwa i głoszą słowo Boże, oczywiście w języku polskim. Księża, a także i siostry zakonne, jeżdżą po bezdrożach w promieniu kilkunastu, a często i więcej kilometrów i prowadzą katechizację dzieci i młodzieży polskiej. Na ziemi Lidzkiej księża jest ciągle za mało, więc ci którzy są, pracują bardzo wiele. Rezygnują oni z wypoczynku i jeżdżą do bardzo odległych miejscowości, niosąc posługę kapłańską wiernym i spragnionym wiary Polakom. Praca tych kapłanów zasługuje na słowa najwyższego uznania. To są apostołowie XX wieku.

Stanisław Sznigir

1.3. Zebranie sprawozdawczo-wyborcze Koła ŚZZAK „Zawisza” w Krobi

24 września 1995 roku, w Pałacu „Na fosie” przy pl. Kościuszki, zgromadzili się członkowie zwyczajni i nadzwyczajni Koła, przedstawiciele Zarządu Okręgu w osobach: mjr Stefan Ignaszak (prezes), Jan Baldwin-Ramułt, Urszula Hoffmann, Maria Krzyżańska, Bogdan Kielczewski i Ludwik Misiek oraz zaproszeni goście z miejscowych organizacji kombatanckich.

Sprawozdanie z działalności Koła ŚZZAK „Zawisza” za okres 3 letniej kadencji złożył prezes Mieczysław Wittig. Następnie, po stwierdzeniu listy obecności, przystąpiono do wyboru Zarządu Koła.

Nowo wybrany Zarząd ukonstytuował się następująco: prezes — Mieczysław Wittig, wiceprezes — Józef Szczepaniak, sekretarz — Kazimierz Szymański, skarbnik — Kazimierz Sikorski oraz członkowie: Leon Krysiak, Jan Stachowiak i Leon Smyczyński.

Prezes Zarządu Okręgu mjr Stefan Ignaszak pogratulował nowo wybranemu zarządowi koła i życzył kontynuowania dotychczasowej aktywnej działalności. Wręczył też medal przywódców AK burmistrzowi Krobi mgr. Mirosławowi Walusiowi — dziękując tym za dobrą współpracę i popieranie inicjatyw Koła. Jednocześnie zostały wręczone Krzyże Armii Krajowej.

Mgr M. Walus podziękował za wyróżnienie i zapewnił o swojej niezmienniej życzliwej postawie wobec Koła AK.

Przy wspólnym obiedzie kontynuowano wymienianie poglądów dotyczących pracy Koła oraz dyskutowano o aktualnej sytuacji politycznej w Polsce.

1.4. Izba pamięci w Gułtowach

13 października br. z inicjatywy Rektora i Senatu poznańskiego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza odbyła się uroczysta sesja okolicznościowa poświęcona Adolfowi Rafałowi Janowi Bnińskiemu — wojewodzie poznańskiemu w latach 1923-1928, Głównemu Delegatowi Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na ziemi wcielone do Rzeszy. Sesja ta była pierwszą oficjalną imprezą zorganizowaną w nowo przejętym przez UAM obiekcie — zespole pałacowo-parkowym we wsi Gułtowy, który stał się własnością Uniwersytetu na podstawie dwóch aktów notarialnych, sporządzonych 6 czerwca br.

Pierwszy z tych aktów, podpisany przez dyrektora Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa — Franciszka Przybyłowicza oraz rektora UAM — prof. dra hab. Jerzego Fedorowskiego, dotyczył przekazania uniwersytetowi praw do obiektu stanowiącego niegdyś własność rodziny Bnińskich, a przejętych w ramach reformy rolnej na rzecz Skarbu Państwa.

Drugi dokument, podpisany przez rektora UAM oraz hr. Wacława Hilarego Bnińskiego, działającego w imieniu Marii Bnińskiej — Harrison, stwierdza, że przekazanie rodowej siedziby rodziny Bnińskich jest spełnieniem życzenia córki i prawnej spadkobierczynie ostatniego właściciela — Adolfa Rafała Jana Bnińskiego. Pragnienie jej, by ojcowizna przekazana została nieodpłatnie Uniwersytetowi im. A. Mickiewicza i służyła ogólnemu pożytkowi, ziściło się dosłownie w ostatnich dniach życia ofiarodawczynie. Hrabina Maria Bnińska — Harrison zmarła bowiem 26 czerwca (a więc zaledwie 20 dni po sporządzeniu aktu notarialnego) w Deerfield Beach na Florydzie. Jej prochy przewiezione zostały do Polski i 14 października złożone w grobowcu rodzinnym na cmentarzu w Gułtowach.

Dokument przekazania nieruchomości ma formę porozumienia, w myśl którego rektor w imieniu reprezentowanego przez siebie uniwersytetu zobowiązuje się nie tylko do wykorzystywania gruntu na cele statutowe, bez dokonywania zmian w jego przeznaczeniu, ale również do przeznaczania pomieszczeń zamku na izby pamięci poświęcone Adolfowi Bnińskiemu oraz pamięci Państwa Podziemnego, Armii Krajowej i ruchu opo-

ru w Wielkopolsce a także na Pomorzu i Śląsku, i wreszcie do opieki nad grobami rodziny Bnińskich, znajdującymi się przy kościele parafialnym w Gultowach.

W sesji okolicznościowej poza przedstawicielami władz uczelni uczestniczyli członkowie rodziny Bnińskich oraz ich krewni i przyjaciele, a także zaproszeni goście reprezentujący historyków i środowisko kombatanów. Referat wprowadzający, poświęcony działalności Adolfa Bnińskiego, wygłosił prof. dr hab. Edmund Makowski, a w dyskusji głos zabierali m.in. Wacław Hilary hr. Bniński (b. żołnierz AK, adiutant d-cy Okręgu AK Kraków płka Józefa Spychalskiego), mec. J.J. Nikisch, prof. Edward Serwański oraz prezes ZO Wielkopolska ŚZZAK — mjr Stefan Ignaszak.

Po zakończeniu obrad, uczestnicy sesji mieli okazję zapoznania się z pomieszczeniami urządzonej już izby pamięci. Wśród zgromadzonych tam eksponatów — zdjęć, pamiątek i dokumentów — z których wiele ma unikatową, historyczną wartość, jest m.in. datowana 3 grudnia 1940 roku nominacja na „Głównego Delegata Rządu Rzeczypospolitej na ziemie polskie wcielone do Rzeszy z siedzibą w Poznaniu” wystawiona dla p. Białonia (pseudonim Adolfa Bnińskiego), a podpisana przez prezesa Rady Ministrów Wł. Sikorskiego.

W.M.

1.5. Dziękujemy Poczcie

Pomysł wydania karty pocztowej z okazji 50. rocznicy zakończenia Akcji „Burza” na terenie Polski powstał w marcu 1991 r. w związku z ukazaniem się serii kart wydanych przez Poczta Polską, a poświęconej Zgrupowaniu Kieleckiemu. Możliwości wydania karty potwierdził b. wiceprezes Zarządu Głównego, ówczesny przewodniczący kolegium ds. Informacji i Edukacji Historycznej doc. Witebski, który zorganizował 30.VI.94 r. spotkanie w Dziale Emisji Znaczków w Poczcie Polskiej w Warszawie.

W czasie omawiania szaty graficznej, padła propozycja umieszczenia panoramy Ostrowa. Po powrocie do Poznania włączyli się do omawiania szaty graficznej kol. kol. Jerzy Hofman i Ludwik Misiek. Propozycja panoramy Ostrowa upadła, zaproponowałem więc znaczek z fotografią płk. Kowalówki jako majora, którą dostarczył kol. Misiek. Ostatecznie 23.IX.94 r. na spotkaniu projektanta — grafika Mieczysława Wasilewskiego zatwierdzono projekt napisu oraz Kotwicę na krwawej płamie (silny akcent).

W Biuletynie Zarządu Głównego nr 9(53) z IX.94 ukazała się notatka na temat „Armia Krajowa na znaczkach Poczty Polskiej”, co nasunęło mi myśl wprowadzenia okolicznościowego datownika. Poczta potwierdziła takie możliwości lecz na koszt naszego Okręgu, co pociągnęłoby za sobą milionowe wydatki. W związku z powyższym wystosowaliśmy pismo do dyrektora Poczty Polskiej w Poznaniu p. Tadeusza Trawińskiego z prośbą o sfinansowanie datownika. Pozytywną odpowiedź otrzymałem dosłownie w 5 minut.

Autorem datownika był prof. Jeziorkowski, a dużą pomoc w załatwianiu formalności i rozprowadzaniu kart pocztowych okazała p. Kaczmarek z Działu Emisji w Dyrekcji w Poznaniu.

Poczta Polska wydała kartę w ilości 200 tys. egzemplarzy. Datownik stosowano na uroczystościach w Ostrowie Wlkp. w dniach 21 i 22 stycznia 1995 r. Mimo dużego nakładu karta pocztowa jest dziś nieosiągalna.

Poczcie Polskiej i ludziom dobrej woli — życzliwym pamięci Armii Krajowej należą się serdeczne podziękowania.

Jerzy Żurkowski

II. MATERIAŁY HISTORYCZNE (wspomnienia i relacje)

2.1. Akcja „Burza” Zgrupowania Stołpecko-Naliborskiego (Część II) — Longin Chimorodo

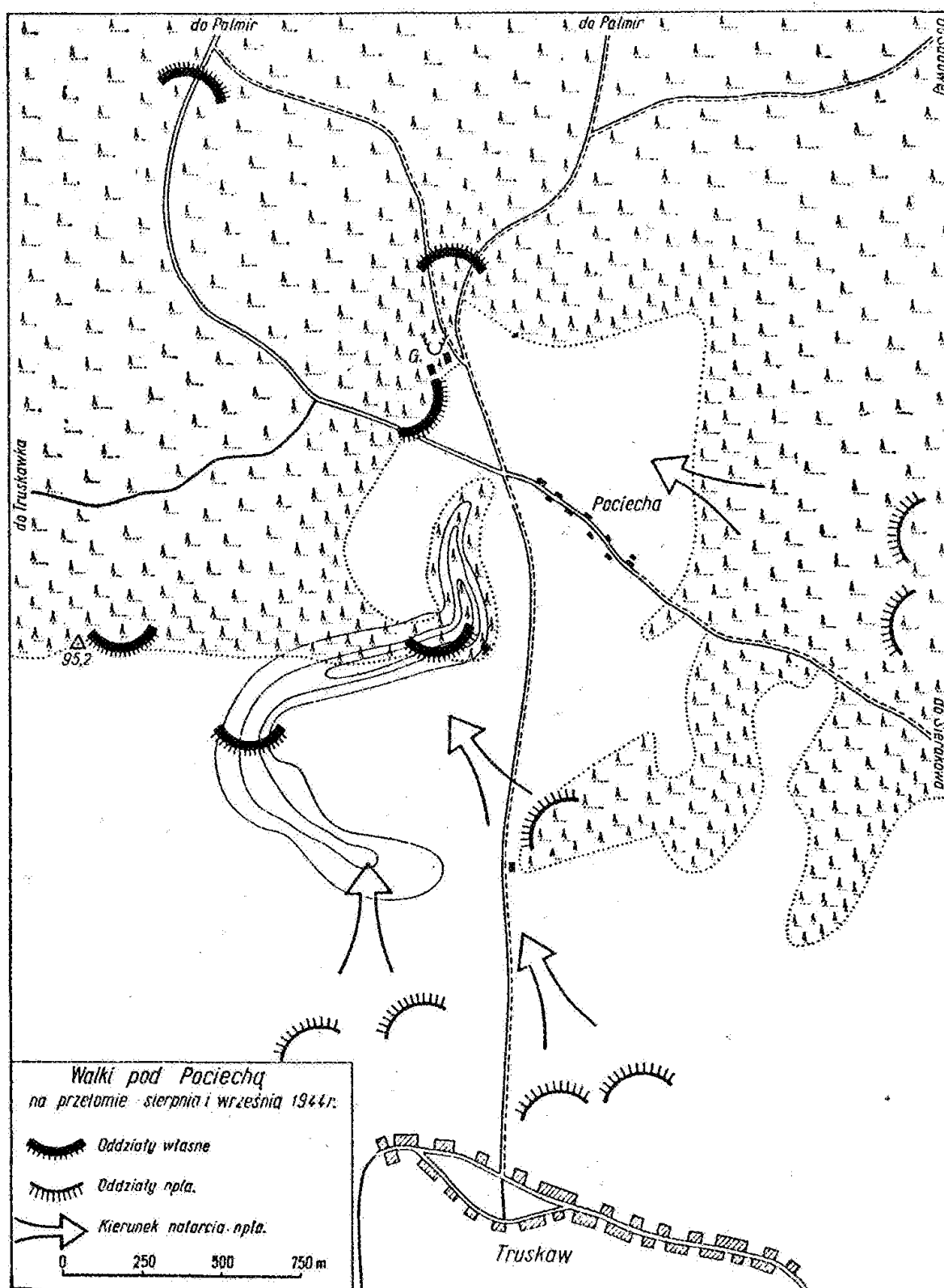
Najkrótsze i najwygodniejsze połączenie Warszawy z Modlinem przebiegało szosą równoległą do Wisły z tym, że w okresie Powstania Warszawskiego mogła być ona obiektem nalotów radzieckiego lotnictwa. Bezpieczny trakt przez lasy prowadził przez tereny opanowane przez polską partyzantkę GRUPY KAMPINOS, w związku z czym Niemcy wszelkimi siłami starali się wyprzeć Polaków w głąb Puszczy.

Jedna z polskich placówek, obok wsi Pociecha, była przedmiotem specjalnego zainteresowania nieprzyjacielskiej artylerii. Obsadę tej placówki stanowił oddział por. Jerzego Strzałkowskiego ps. „Jerzy”, a 28 sierpnia również szwadron kawalerii 27 P.Uł. z dywizjonu chor. Zdzisława Nurkiewicza ps. „Nieczaj”. Szwadrony kawalerii zmieniały się co dobę.

Posterunki „Jerzyków” znajdowały się na wydmie oraz przy leśniczówce (od strony wsi Pociecha), natomiast kawaleria broniła dostępu do lasów od strony od strony Truskawia i wzdłuż drogi od tej wsi do Palmir. Drugi szwadron spędził na tym posterunku prawie 3 doby. Nasza sekcja stanowiła obsługę taczanki z lekkim karabinem maszynowym. W akcjach bojowych konie z wozem woźnica ukrywał w bezpiecznym miejscu, natomiast obsługę elkaemu stanowili: celowniczy — kpr Stanisław Guzowski ps. „Zubr” i amunicyjni: st. ułan Franciszek Rejowski ps. „Sęk”, st. ułan Stanisław Utykański ps. „Wąs” oraz st. ułan Longin Chimorodo ps. „Wiatr”. Na omawianym posterunku elkaem znajdował się zawsze na cyplu od strony drogi Truskaw-Palmiry, vis a vis Truskawia. Z prawej strony stanowiska elkaemu rozlokowany był cały szwadron.

Skraj lasu, w którym ukrywały się nasze stanowiska (w dołach strzeleckich), górował (około 2 m) nad wolną przestrzenią, dzielącą las od Truskawia. Przestrzeń tę wypełniały piaski, rzec by można plaża. Gdy po czterdziestu latach odwiedziłem to miejsce, to nie uwierzyłem własnym oczom — plaża zarosła karłowatym krzewem.

Po raz pierwszy na placówkę tę Szwadron Drugi przybył o północy z 28 na 29 sierpnia 1944 r. Dowódca Szwadronu wachm. Józef Niedźwiecki ps. „Lawina” wyznaczył miejsce dla elkaemu, erkaemów i pozostałych stanowisk. Przystąpiliśmy niezwłocznie do zbudowania sobie jak najlepszego stanowiska strzeleckiego dla całej czwórki. Po uporaniu się z tym, trzech z nas mogło równocześnie trochę się przespać; czwarty czuwał.



Rano nadleciał samolot zwiadowczy i krążąc nad wydumą i lasem starał się ustalić miejsca naszej lokalizacji. Nie na wiele mu się zdało szukanie stanowisk kawalerzystów, gdyż chroniły nas korony sosen. Również ostrzeliwanie z broni pokładowej nie dało spodziewanego rezultatu. Po odlocie samolotu rozpoczął się długotrwały ostrzał artyleryjski, zastąpiony w przerwach ostrzałem z cekaemów. Armaty strzelały z Truskawia i Sierakowa. Nękające ostrzeliwanie artyleryjskie działało deprymująco na partyzantów, walczących dotąd w ruchu z widzialnym nieprzyjacielem. Z czasem oswoiliśmy się z gwizdem czy piskiem przelatującego pocisku do tego stopnia, że rozróżnialiśmy w tonacji gwizdu kształt paraboli lotu pocisku i w zależności od tego mocniej lub słabiej przytulaliśmy się do matki-ziemi. Zdarzały się, niestety, przypadki zabitych i rannych.

Ostrzeliwanie to trwało przez cały dzień, a dzień był upalny i chciało się pić. Mieliśmy, co prawda, w kanistrze wodę, ale była ona przeznaczona wyłącznie dla chłodnicy elkaemu. Po południu wypelzłem z dołu i wybrałem się do leśniczówki na zgaszenie łaknienia. Tam spotkałem „Jerzyków”, których poprzednio nie widziałem, gdyż placówkę zajęliśmy w nocy. Oczywiście napilem się na zapas, wyprostowałem kości, a przechodząc koło kuchni polowej wywołałem w sobie głód. Po powrocie na stanowisko spałaszowałem posiadany suchy prowiant.

Gdy się ściemniło, ostrzał artyleryjski zamarł, a my czekaliśmy z utęsknieniem na zmianę. Jeszcze raz stwierdzam, że taka walka pozycyjna — a raczej czekanie na walkę, to nie dla ułana, który przywykł walczyć z zaskoczenia, w różnych miejscach. W nocy nastąpiła upragniona zmiana przez inny szwadron.

Po raz drugi to samo stanowisko zajęliśmy w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1944 r. Dzień rozpoczął się podobnie wizytą samolotu zwiadowczego i ostrzeliwującego, a potem rozpoczęło się długo trwające ostrzeliwanie artyleryjskie oraz kanonada cekaemów. Po tej uwerturze nastąpiło wkroczenie do akcji nieprzyjacielskiej piechoty. Na tle jasnego piasku, od strony Truskawia zauważyliśmy ruchome, stale powiększające się punkty, cały ich sznur. Wkrótce wyjaśniło się, że w naszym kierunku zbliża się tyraliera uzbrojonych po zęby własowców RONA. Było ich wielu, chyba trzystu. Szli w odstępach nie większych niż 5 m. My odbezpieczyliśmy broń i czekaliśmy. W lesie z naszymi stanowiskami panowała grobowa cisza, bowiem ptaki odleciały po uprzednich strzelaninach. Patrząc na zbliżające się postacie morderców i gwałcicieli z Warszawy wysyłaliśmy im w myślach życzenia śmierci godnej psubratów. Od kolegów przybyłych z Warszawy wiedzieliśmy o bandyckich poczynaniach własowców. Później mieliśmy okazję wziąć do niewoli tych zbirów i zobaczyć na własne oczy jak jeden z nich, na ręce od łokcia do przegubu, miał mnóstwo zegarków, a w kieszeni garście pierścionków i obrączek. Nie mieliśmy dla nich pardonu.

Przejsście około dwóch kilometrów po piasku i z pełnym obciążeniem bronią musiało trwać chyba pół godziny. Przez cały ten czas trzymaliśmy palce na spustach, wypatrując oczy. Gdy własowcy zbliżyli się na odległość ca 100 m i z głośnym „uraaaaa” rozpoczęli atak, spotkała ich lawina partyzanckich pocisków. Nasze głowy, wystające minimalnie z dołów, były trudnym celem, natomiast trupy wroga padały gęsto. Pociski przelatywały nad naszymi głowami faszerając sosny znajdujące się nad nami i za nami. Charakterystyczne „ti-ta”, jako odgłos uderzenia w drzewo świadczył, że wróg strzelał pociskami rozrywającymi. Wówczas o tym nie myślałem, ale później

uświadomiłem sobie, że biedny będzie tartak, do którego trafią te sosny do przerobu. Nie pamiętam, jak długo trwały walki. Wróg nie wytrzymał naszego ognia i wycofał się. Nastąpił znowu ostrzał z broni pokładowej, a potem długi ostrzał artyleryjski i z ceka-
emów. Trwało to wieczora.

Gdy się ściemniło, cieszyliśmy się na rychłe nadejście naszych zmienników. O północy zamiast szwadronu przybył pluton kwatermistrzostwa z kawałkiem chleba i kielbasy — dla każdego z nas, uzupełnieniem amunicji oraz wiadomością, że szwadron, który miał nas zmienić, stoczył ciężkie walki z Niemcami pod Kiściem i Roztoką i w związku z tym musimy pozostać w Pocięcie przez następną dobę. Skłamałbym mówiąc, że to nas ucieszyło, ale taka już jest żołnierska dola.

W nocy wyczyściliśmy elkaem, wymienili w nim wodę, przygotowali taśmy z nabojami i gotowi do następnej walki — pozwoliliśmy sobie na spanie, na zmianę.

Dzień 2 września był powtórzeniem dnia poprzedniego. Znowu samoloty, artyleria, karabiny maszynowe, tyraliera, „uraaaaa” i tęgie lanie spuszczone własowcom, z tym że strzelanina trwała dłużej, bowiem Niemcy nie tylko wysłali własowców z Truskawia ale również z Sierakowa (przez las).

Było już po południu, gdy w pewnej chwili usłyszałem dziwny syk i usłyszałem słowa „Żubra — przestrzelona chłodnica. Rzeczywiście, rozgrzana do granic możliwości lufa zagotowała wodę, która z sykiem tryskała przez otwór. Elkaem stał się bezużyteczny w tej walce. Natychmiast wiadomość o tym przekazaliśmy najbliższemu koledze, a ci dalej przekazali ją dowódcy szwadronu. Zanim otrzymaliśmy odpowiedź, strzelaliśmy z kbk-ów. Moje miejsce przy elkaemie było z lewej strony celowniczego, jako że do mnie należało podawanie taśmy z nabojami. Po którymś wystrzale z kbk próba zarepetowania nie dała rezultatu, więc wycofałem się w głąb dołu i szukałem przyczyny. Stwierdziłem, że wgnieciona jest komora nabojoowa. Wgniecenie mogło nastąpić w momencie celowania lub oddania strzału, a więc w chwili, gdy głowa znajdowała się tuż przy komorze nabojoowej. W ferworze walki nie zauważyłem, że wróg strzela również z lasu od strony Sierakowa ani też nie odczułem uderzenia pocisku.

Wachm. „Lawina” polecił wycofać się, a nasze miejsce zajął erkaem. Nasz ranny elkaem załadowaliśmy celownicemu na plecy i na brzuchach dobrnęliśmy prawie do miejsca postoju taczanki. Dopiero teraz zjedliśmy suchy prowiant, popijając go wodą przeznaczoną dla elkaemu, bo nie była już potrzebna.

Dzień chylił się ku zachodowi, gdy — wracając do swojego stałego miejsca postoju tj. Kiścińskiego — minęliśmy „Dolinę” wraz z około osiemdziesięcioma chłopakami. Udawali się oni na wypad nocny do Truskawia.

P.S. Opis uderzenia na Truskaw zawarty jest w książce Adolfa Pilcha „Doliny” pt. „Partyzanci trzech puszczy” (wyd. Editions Spotkania, 1992).

Longin Chimorodo

2.2. Powstańcze wspomnienia

Minęło pół wieku od czasu kiedy w tamte sierpniowe dni Warszawa zerwała jarzmo niewoli. Czas zaciera ślady i tylko wspomnienia powracają, przywołując chwile jakby dnia wczorajszego. Powracają pytania, na które nie było i nigdy nie będzie odpowiedzi. Choć dla wielu moich Kolegów warszawskie gruzy stały się nie tylko cmentarzem ale również pomnikiem, ta śmierć pierwszego wśród nas pozostanie na zawsze w pamięci.

Mieszkalem na terenie b. szpitala PCK w Warszawie, tuż przy tunelu (obecnie dworzec Powisle). Szczęśliwym trafem na terenie szpitalnym nie było dotąd żadnej rewizji, toteż — kiedy nastąpiła wpadka magazynu broni i amunicji u „Żara” (plut. Stanisław Piotrowski) — cały arsenał został przeniesiony z mieszkania jego ciotki przy ul. Nowakowskiego do komórki mojego budynku. Tylko drewniany płot oddzielał nas od kolei, a ściana komórki — od wartowni niemieckiej strzegącej torów i tunelu.

1 sierpnia 1944 r. zbliżała się godz. 16 kiedy przenosiłem magazynowaną broń i amunicję na punkt zborny przy ul. Nowy Świat — w pobliżu ul. Świętokrzyskiej. Przechodząc przez ul. Smolną — choć wiedziałem, że ktoś mnie dyskretnie ubezpiecza — z niepokojem obserwowałem wartownika przed budynkiem nr 25, który wzrokiem wlepionym w pękata teczkę i narzucony płaszcz, śledził mnie aż do rogu ulicy. Na punkcie zbornym stawiała się już większość naszego oddziału, którego znaczną część stanowili koledzy szkolni, absolwenci III Miejsk. Gimn. Mech. przy ul. Konopczyńskiego. Był nasz dowódca „Sten” (pchor. Stefan Lewandowski) oraz sanitariuszka-łączniczka „Danka” — prywatnie jego narzeczona. Rozdawano broń. Niestety nie dla wszystkich starczyło. Odwrotnie było z opatrunkami; mimo nalegań „Żar” odmówił ich przyjęcia, zasłaniając się złym przeczuciem. Dopiero rozkaz „Stena” okazał się skuteczny.

Grupkami przechodziliśmy w rejon ulicy Grzybowskiej. Tu, w jednym z budynków, oddaliśmy posiadane dokumenty. Kilku chłopców wypadem na pobliski niemiecki magazyn, zdobyło trochę krótkiej broni oraz hełmy i „panterki” (bluzy w zielonkawie plamy).

Pierwszym naszym zadaniem było zajęcie terenów przyległych do elektrowni tramwajowej, bardzo silnie bronionej przez Niemców. Przebiegaliśmy grupkami po przekątnej dwóch ulic. Pozostaliśmy ze „Stenem”, kiedy nagle posypał się grad kul. Odbijane rykoszetem od bruku, iskrzyły na całej szerokości ulicy. Szczęśliwie przebiegliśmy, kryjąc się za ścianą budynku. Po chwili podszedł do mnie „Żar” pokazując pełny zapasowy magazynek do stena (pistolet maszynowy produkcji „chałupniczej”), który w czasie biegu — nawet nie zauważyłem kiedy — wysunął mi się zza pasa. Chciałem wziąć magazynek, ale „Żar” niedwuznacznym gestem ręki odmówił, dodał tylko — było nie gubić. Zajęliśmy stanowiska. Ja z „Młotem” (kpr. Tadeusz Zbrzeźniak), do którego pseudonim pasował jak ulał, stanęliśmy za ogrodzeniem z cegły. Z naszej strony usypały był wał ziemi obrosnięty krzewami, co pozwalało na dobrą obserwację.

Nagle z głębi ulicy wyłonił się jakiś „twór”, iskrząc jak zimne ognie. Wokół nas zaroilo się niczym w gnieździe rozwścieczonych niewidocznych os. Odpryski cegieł, gałęzie cięte jak nożem, padały jak deszcz. Odruchowo skryliśmy się za mur. „Tworem”

okazał się motocykl z przyczepą, silnie opancerzony z wmontowanym ciężkim karabinem maszynowym. Idź po granaty — powiedział do mnie „Młot”. Zszedłem do piwnicy pobliskiego budynku i ... zamarłem z przerażenia. Na wąziutkiej ławeczce leżał „Żar”. Z czterech ran na piersi wypływała jeszcze krew, ściekając po bielutkiej koszuli na posadzkę. Patrzyłem przez łzy. Czy to prawda? Ile magazynków wystrzelał, zapytałem obecnych przy nim kolegów? Spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. A czy to ma jakieś znaczenie — usłyszałem odpowiedź.

Wybiegłem z piwnicy. Stałem na swoim stanowisku, kiedy motocykl znów się pojawił siejąc ciągłym ogniem. Nagle „Młot” zachwiał się i ciężko ranny padł mi na nogi. Natychmiast został podciągnięty przez nasze sanitariuszki. Pozostałem sam. Poznałem metodę Niemców, jakby kpili z nas. Wiedziałem, że zaraz się pojawią. Przygotowałem granaty do odbezpieczenia.

Czekam. Czyżby już się nie pojawili? Ale nie, są! Znów ten ciągły ogień, jakby tylko jeden punkt sobie upatrzyli. Umysł jak automat ocenia, jeszcze za daleko. Jeśli się skryję znów przyjadą, może ktoś następny padnie. Odruchowo odbezpieczam granaty. Rzucam — jeden, drugi i jednocześnie czuję okropny ból tyłu głowy, jakby uderzenie rozpalonym żelazem ...

Potworny huk, zlał się w jeden grzmot i przetoczył echem. Zatrzęsła się ziemia, posypały szyby z okien. Jak przez mgłę dostrzegam, że trafilem. Podeszedł do mnie „Sten” i po raz pierwszy powiedział mi po imieniu; Ryszard, założymy opatrunek i wycofujemy się.

Zeszliśmy do piwnic w labirynt długich korytarzy. Przypominam sobie, że tu przed pół rokiem przychodziliśmy na próbne strzelanie. Odpoczynek po pierwszej bitwie. Przed oczami mam postać „Żara”. Powraca pytanie, ile magazynków wystrzelał? Może gdyby nie podniósł mojego, byłby wśród nas. Wyróżniał się niewiarygodną wprost odwagą.

Kiedyś przechodząc pustą ulicą tuż przed godziną policyjną, dostrzegliśmy Niemca. „Żar” podeszedł do niego z tyłu i wciskając palec w plecy wprowadził do bramy. Tu wziął mu pistolet „parabellum” — a przekazując mnie powiedział: do magazynu. Znając nieco język niemiecki, zakazał ogłupiałemu Niemcowi opuszczania bramy przez 15 minut. A dziś? Już Go nie ma. Mogiła Mu skład opału, i węgiel zamiast ziemi.

Z głębokich wspomnień wyrywa głos „Stena”: Chłopcy idziemy. Wychodzimy na ulicę. Rosną, stawiane z entuzjazmem barykady. Gdzie my, tam skrawek wolnej Warszawy, tam skrawek wyzwolonej ojczyźnej ziemi.

Zapada zmierzch i tylko płonące wokół budynki rzucają swoje krwawe światło. Powoli zbliża się pierwsza powstańcza noc. Jakie będą następne?

Ryszard Rusiniak
„Burza”

Pamiętam dochodziła godzina 17. Na dworze padał deszcz, niebo pokrywały gęste chmury. Za oknem nagle zaczęło się dziać coś niezwykłego. Wybiegliśmy z kolegą z domu. Ujrzelśmy, że cała ulica jak długa i szeroka pełna była ludzi. Społeczność

Warszawy, nie bacząc na pogodę i grożące niebezpieczeństwo, pospiesznie budowała barykady. W ciągu kwadransa ulica Nowogrodzka pokryta została stertami najrozmaitszych przedmiotów. Co pięćdziesiąt metrów rosły zapory. Zewsząd dolatywał szcęk łopat i kilofów, łomot ciągnionych kublów od śmieci, skrzyń z piaskiem, zrywanych płyt chodnikowych. Z wysokich pięter leciały na dół meble. Ludność w gorączkowym pośpiechu, milcząco budowała przeszkody przed wtargnięciem czołgów i pojazdów nieprzyjaciela w obręb najbardziej żywotnych części miasta.

Mieszkałem wówczas na ul. Chmielnej nieopodal Dworca Centralnego z rodzicami i młodszą siostrą niedawno — uciekinierami z Wołynia. Akcja „Burza” zastała mnie u kolegi na ul. Nowogrodzkiej 3. Z uwagi na niebezpieczeństwo osobiste pozostałem tutaj na noc, czyli z 31.07 na 01.08.44 r. Na ulicy Brackiej, która z jednej strony zamykała ul. Nowogrodzką, przez noc urosła potężna barykada, historycznie odnotowana. O świcie na jej szczycie zatknęliśmy okazałą flagę narodową, która była jakby manifestem, że tutaj jest wolna Polska.

Następnego dnia na jednym z podwórek zaczął organizować się oddział. Zebrało się kilkunastu młodych ludzi, do których ja również ochoczo dołączyłem. Na czele tego oddziału stał porucznik Błoniak ze zgrupowania „Sokoła”. Bojowym zadaniem tej jednostki była ochrona barykady na Brackiej i likwidacja gniazda karabinu maszynowego ustawionego przez Niemców na dachu BGK, który niebezpiecznie panował nad naszym rejonem działania. Postanowiliśmy jakoś temu zaradzić. Dowódca orzekł, że łączniczka „Basia”, która na ulicy Brackiej mieszka, mogłaby — wykonując zadanie zwiadu — zbadać od strony ogrodów, jaka jest możliwość podejścia pod ten budynek. Propozycję tę dwudziestoletnia dziewczyna przyjęła bez wahania. Mnie przypadła rola ubezpieczyciela. Wziąłem jedyny w oddziale karabin — starego mauzera i poszliśmy.

Był czas popołudniowy, dziewczyna szła przodem a ja za nią. Do celu było niedaleko. Weszliśmy do przelotowej bramy starego budynku. Gdy znaleźliśmy się na krawędzi podwórza, nieoczekiwanie padła seria strzałów. Dziewczyna, przeszyta trzema pociskami, padła martwa jak rażona piorunem, mnie kula urwała tylko kawał rękawa.

Któregoś kolejnego dnia do dowódcy placówki zgłosił się młodzieniec w wieku może piętnastu lat. Ubrany był w skafander, na głowie miał hełm niemiecki z białoczerwoną opaską, a w ręku trzymał nowego „Stena”. Młody ów człowiek powiedział, że chce walczyć i poprosił o przyjęcie go do oddziału. W ślad za nim przybiegła zrozpaczona matka i ze łzami w oczach prosiła: „synu, ty jeszcze jesteś dzieckiem, zginiesz, błagam wróć do domu”. Nie pomogły prośby. Chłopak ten w krótkim czasie zginął razem z dwoma innymi powstańcami. Wszyscy trzej nieostrożnie wysunęli się za daleko, atakując granatami samochód wypełniony Niemcami. Do dzisiaj — jak żywo — pozostaje mi w pamięci rozdarta bólem, stroskana postać matki, przestroga której — jak wyroczni delfickiej — niebawem sprawdziła się.

Opuszczone auto, był nim czarny Ford, ścignęliśmy nocą na nasze podwórko. Wykopaliśmy dół i zabezpieczyliśmy pojazd przed odłamkami bomb.

Niewiarygodnie ciężka sytuacja powstańców i ludności, niebezpieczeństwo utraty życia nie osłabiły naszego optymizmu, a zdarzenie to opatrzyliśmy dość naiwnym komentarzem: samochód po zakończeniu powstania wyprowadzimy z dołu na defiladę zwycięstwa.

Niewiele czasu upłynęło od tragicznej śmierci łączniczki i trzech odważnych żołnierzy, a znów stanęło przed nami kolejne, a właściwie to samo, ważne zadanie bojowe. Należało koniecznie unieszkodliwić gniazdo karabinu maszynowego znajdujące się nadal na budynku BGK. Do tego trudnego zadania powracaliśmy codziennie. W końcu por. Błoniak zebrał nas i powiedział: Wyślemy do Niemców parlamentariusza z pismem, że mają się poddać i złożyć broń, gdyż są ze wszystkich stron otoczeni.

Sprawa wydawała się być prosta, choć właściwie nikt tak naprawdę nie wierzył w jej powodzenie. Przede wszystkim nie było desperata, który wystąpiłby w roli parlamentariusza. Naradzając się w tym duchu, nie zauważyliśmy, że rozmowie naszej przysłuchuje się mały, może dziesięcioletni chłopak — harcerz, ubrany za strażaka — w mundur jak ze starszego brata i błyszczący hełm, z toporkiem przy pasie. Podслуchał rozmowę i powiedział: „ja pójdę i zaniósę pismo Niemcom”.

Nie pomogły perswazje, ostrzeżenia i groźby. Jak powiedział tak uczynił. Wziął z rąk dowódcy pismo i pobiegł. Po upływie pół godziny wrócił i oświadczył, że list odebrał od niego niemiecki żołnierz w hełmie i z gotowym do strzału karabinem. Po zabranii pisma krzyknął tylko „raus fafluchter!”.

Był to niezwykle choć typowy przypadek heroizmu i patriotyzmu, a może też trochę braku poczucia niebezpieczeństwa, ze strony młodzieńczego harcerza. A choć misja chłopca nie odniosła skutku, szkoda że pozostał on anonimowy.

*Marceli Daczkowski
„Dymek”*

2.3. Nasz ostatni dzień Powstania ... i dalsze losy

Kapral „Francuz” — mój śp. ojciec Jan Potograbski — od 1 sierpnia 1944 r. bronił barykady placu Kercelego, róg Okopowej. 11 sierpnia oddziały ppłk. Radosława wycofały się z cmentarzy — ewangelickiego i kalwińskiego. 14 sierpnia Niemcy wyłączyli wodę.

Ze strony niemieckiej okrutnie nacierali własowcy i brygada Rona Kamińskiego (Mieczysław Kamiński, syn Władysława, urodzony w 1896 w Poznaniu. Ojciec był Polakiem, matka — Niemką, a on czuł się Rosjaninem. Żył w Leningradzie i jako rosyjski kapitan dostał się do niewoli niemieckiej w 1942 roku koło Orla. Wstąpił do służby niemieckiej, przyjęty do SS jako Brigadeführer, zwalczał szczególnie zajadłe Powstanie na Ochocie, grabił i przywłaszczał sobie rzeczy wartościowe Polaków, na rozkaz von dem Bacha postawiony przed sądem wojskowym i rozstrzelany).

Na cmentarze wolskie nacierał brutalnie pułk 608 — specjalny pułk Willi Schmidta z Wehrmachtu, potem na Starym Mieście i w Śródmieściu, również zwalczał powstańczą Wolę Heinz Reinefarth (urodzony w Gnieźnie, 26.10.1903 r., SS-Brigadeführer, dowódca policji i Wehrmachtu „Kraju Warty”, po Powstaniu dozorował z grupą odcinek Wisły w Bielanych-Potoku), dalej SS-Oberführer Oskar Dirlewanger w kierunku Grzybowska, Żelazna, Krochmalna (urodzony w 1895 r. w Würzburgu, doktor poli-

tolog, oficer I wojny, kryminalista, walczył w Hiszpanii, jego grupa wykonywała masowe mordy, rabunki, gwałty i bezprawie w Warszawie).

Kpr. „Francuz” walczył dalej na ulicy Ceglanej i Waliców, we wrześniu walczył z czołgami niemieckimi na Grzybowskiej i Żelaznej i tam kontuzjowany w podwórzu magazynu browaru Habermuscha i Schiele, przebywał w szpitalu polowym na ulicy Komitetowej do 7 października 1944 r. Po powstaniu wyszedł, odłączył się od grupy i przebywał u siostry Bronisławy Zielińskiej w spalonych 2 września 1944 r. przez Niemców za walki partyzanckie Radoszycach. Po wyzwoleniu tu spotkał się z rodziną 1 kwietnia 1945 r.

Okolo 10 sierpnia 1944 r. dostałem pieniądze od matki, która mnie wysłała po zakupy żywności dalej za Czerniaków i doszedłem do ulicy Podchorążych. Tam wszystkie sklepy były zamknięte i wracałem bez zakupów, ale po drodze na ulicy Czerniakowskiej (numery domów 118, 120 i 122) widziałem pierwszy raz w życiu, jak żołnierze niemieccy (było ich trzech z plecakami blaszanymi na plecach) pompowali korbką jakiś płyn zapalający przez rurę do mieszkań na I i II piętrze, zapalając je. Oni na mnie się nawet nie obejrżeli. Palili domy. Te wysokie domy były punktem obserwacyjnym na koszarzy na ulicy 29 Listopada i Czerniakowskiej oraz widokiem przez Wisłę na Pragę. Jeszcze na odcinku Czerniakowskiej, od 29 Listopada do Adolfa Suligowskiego, widziałem wszystkie pokrywy kanałów otwarte. Byłem sam na ulicy.

Do dziś nie mogę się nadziwić, że matka mnie wysłała tam i wróciłem, przez nikogo nie zaczepiony. Mieliśmy okna od podwórza i nie wiedziałem co się działo na ulicy, a z domu nie warto było wychodzić z obawy przed kulą, która mogła paść z Łazienek, lub z koszar Wehrmachtu na ulicy 29 Listopada, lub od frontu domu z koszar SS na ulicy Szwoleżerów. Ale raz wyszedłem ostrożnie, w piękny, słoneczny dzień sierpnia, a tu z wejścia domu widzę średni czołg niemiecki i dwóch żołnierzy niemieckich pochylonych, biegnących za czołgiem. Dojechali do Czerniakowskiej i wracali w kierunku Łazienek.

Mógł być dzień 15 sierpnia, ludzie nie mieli co jeść, więc mieszkańcy — dwóch domów nr 5 i 7, otworzyli piętrowy magazyn niemiecki, będący za przeciętymi drutami kolczastymi, z wjazdem od ulicy 29 Listopada. Ja też widziałem ruch ludzi coś przynoszących. Za pozwoleniem matki, biegłem za ludźmi do magazynu i z piętra wziąłem kilka puszek 1 kg bez napisu. Po otwarciu stwierdziliśmy, że był to smalec z mięsem — dobre jedzenie.

Jeszcze obserwowałem ten ruch ludzki, gdy nagle padł strzał z okna I piętra koszar Wehrmachtu w przestrzeń między budynkiem — nie wykończonym a świniaarnią. Strzelał inwalida — major Wehrmachtu, który trafił mężczyznę niosącego worek cukru. Ten człowiek runął na ziemię przyciśnięty workiem cukru i jęczał, wzywał pomocy przez kilkadziesiąt minut i nikt nie chciał mu pomóc. Kobiety nawzajem wymawiały się, że „ja nie mogę, bo mam dzieci”. Wreszcie kilka się zdecydowało. Poszły po niego i po worek. Przyniosły go do jego mieszkania na parterze w moim domu. Był ranny w miednicę, krew upływała. Bez opatrunków i fachowej pomocy umarł rano na drugi dzień. Został pogrzebany w ogródku przed wejściem od strony Łazienek. Na grobie ludzie postawili krzyż i duży obraz święty z jego mieszkania.

Niemcy z koszar Wehrmachtu zorientowali się, że ludzie roznoszą towar z magazynu wojskowego. Zwołali zebranie wszystkich mieszkańców dwóch domów na podwórzu nr 5 — tam, gdzie była kapliczka roboty mojego ojca. Przybyli w sile około 10 żołnierzy i oficer, który zagroził, że rozkradzione towary trzeba natychmiast zwrócić do magazynu a puszki rozpoczęte zatrzymać. Jeżeli sprawdzą w mieszkaniach posiadanie ich towarów, to tych ludzi rozstrzelają. Oficer zagroził też, że jeżeli spotkają powstańców, to wszyscy będą rozstrzelani, a dom nr 7 będzie spalony.

Okolo 20 sierpnia 1944 r. Niemcy z Wehrmachtu zarządzili zbiórkę wszystkich mieszkańców. Kazali zabrać tylko to, co można unieść. Matka wzięła walizkę i toboł z pierzyną, kołdrami i cieplejszymi rzeczami dla nas. Ja ciągnąłem mały wózek na czterech łożyskach własnej roboty z jakimiś rzeczami i żywnością. Drzwi do mieszkań kazali otworzyć a rzeczy zgromadzić w piwnicach domu nr 5 i matka duży toboł pościeli i odzieży (w środku był zegar ścienny) wrzuciła do piwnicy klatki nr 1, by uchronić przed spalaniem.

Okolo godziny 10 tłum ludzi ze Szwoleżerów w liczbie okolo tysiąca osób siedl koło Łazienek. Na skarpie Agrykoli Niemcy kazali wszystkim usiąść po obydwu stronach i przeglądali ludzi. Mężczyzn wszystkich zabrali na prawo, z naszego domu sześciu, m.in. pamiętam pana Mandysa i Nowakowskiego. Po kilku godzinach przeglądu i po zatrzymaniu mężczyzn, wróciliśmy tą samą drogą do domu. Był piękny sierpniowy dzień. To wygnanie i powrót dało nam do myślenia, co będzie z nami dalej?

Nazajutrz — 21 sierpnia 1944 r. znowuż to samo: zbiórka ok. godziny 10, ten sam marsz na Agrykolę, na skarpe i znów przegląd ludzi. Matka nie wzięła pierzyny i cięższych rzeczy, bo myślała, że wrócimy do domu. A tu po kilku godzinach siedzenia na ziemi, kazali nam iść w dół Agrykoli przed pomnikiem króla Sobieskiego, furtką do Łazienek, alejkami koło Belwederu, skrzyżowaniem ulicy Belwederskiej, Alej Ujazdowskich, dalej Bagatelą, placem Unii Lubelskiej, Rakowiecką. Tu na rogu Puławskiej było wojsko niemieckie. Domy na Rakowieckiej, od Sandomierskiej do więzienia, były wypalone. Strach nas ogarnął, co z nami będzie? Od 5 do 17 sierpnia Niemcy wypalili domy w rejonie Rakowieckiej, Boboli, Narbuta, Polanka.

Na końcu Rakowieckiej, za kościołem w kierunku ogródków, zatrzymali nas Niemcy i Ukraińcy. Rewidowali kogo chcieli i zabierali co chcieli. Pana Makowskiego — starszego niedołężnego człowieka — wyrzucili z jego dorożki i zabrali konia z dorożką. On mieszkał na Czerniakowskiej 118 lub 120. Po rewizji cały tłum ruszył drogą koło ogródków (dziś Rostafińskiego) i szosą Raszyńską za Warszawę. Byliśmy już wygnańcami. To była nasza ostatnia droga. Do naszej rodziny przyłączyła się pani Anna Natanek (lat 34) z córką (lat 9) z naszego domu i pozostała razem z nami do wyzwolenia w 1945 r.

Minęliśmy Okęcie i pod wieczór przenocowaliśmy w Raszynie, za pomnikiem 1809 r. w pierwszej stodole. Po drodze wyrzuciłem zapaszczone łożyska i wózek do rowu. Rano gospodyni nas wyganiała, bo się bała. Poszliśmy w nieznane do najbliższej wsi — Sokółów. Przenocowaliśmy w sześcioro w stodole pani (zapomniałem nazwisko), która rano nas pozbyła, tłumacząc się, że już ma ludzi z Warszawy. Przyjął nas pan Woźniak — gospodarz na skrzyżowaniu ulic wsi, pod figurą. Spaliśmy na podłodze

w kuchni, na słomie. Rano matka musiała sprzątać legowisko i tak codziennie do końca pobytu.

We wsi i u Woźniaka był pułk Ukraińców z wozami i końmi. Kozacy robili wyścigi po wsi, mieli czapki barankowe z czerwonym denkiem i złotym krzyżem. Jeździli do Warszawy rabować rzeczy m.in. maszyny do szycia „Singer”, tu je sprzedawali, lub dawali kobietom chętnym do kochania. Matka pomagała w gospodarstwie Woźniaków, ja pasłem krowę pani Barańskiej, która mnie żywiła, brat Leon pasł krowę i cielaka pani Siejkowej i tam dostawał jeść, brat Sylwester był z matką. Po kartofle wychodziliśmy w pole, by nie zauważeni nakopać sobie na obiad. Kozacy lubili polskie dzieci, wożąc je wozem na łąkę.

Gdy pasłem krowę na łące w sierpniu, to widziałem jak leciała armada około 100 samolotów, chyba angielskich. W słońcu były jak srebrzyste krzyżyki. Niemcy strzelali do nich z armat i nagle około 200 m ode mnie spadł samolot, wbił się głęboko w ziemię. Powstał duży lej, trochę blach leżało wkoło, a na polu widziałem rękawiczkę z ręką i skórę z włosami. Nic nie brałem do ręki. Za około 20 minut przyjechali Niemcy na motocyklu i oglądali miejsce.

W październiku były wykopki ziemniaków. Któregoś popołudnia widzieliśmy z pola, że drogą od Janek jedzie samochód. Na polnej drodze z dziurami nagle się przewrócił na bok. Kierowca krzyczał do ludzi w polu „hilfe”, a chłop z końmi od ziemniaków musiał podnosić wojskowy samochód osobowy. Kierowca krzyczał „Willy ist tod”. Obaj byli pijani. Zawiązana w worku świnia kwiczała, w innym worku było słychać kury, a na ziemi wały się porozrzucane jajka. Wszystko to musieli nakraść w sąsiedniej wsi. Postawiony na koła, uszkodzony samochód, ze zgniecionym jednym i pijanym drugim żołnierzem, chłop musiał ciągnąć końmi aż do Pruszkowa.

Szczęście, że wyszliśmy z piekła Warszawy, ale wciąż nad nami wisiało zagrożenie życia. Ten, kto to przeszedł, to wie jak to jest być wygnańcem, bez chleba, bez stałego noclegu, w zastraszaniu. Wiedzieliśmy, że Rosjanie są w Warszawie prawobrzeżnej. Szukaliśmy pomocy w Komorowie, ale nic nie uzyskaliśmy.

Kapitulacja Powstania Warszawskiego nastąpiła 2 października 1944 r. na terenie Śródmieścia, które nie zostało zdobyte przez Niemców. Po kapitulacji cała Warszawa przeszła pod Durchgangslager nr 121 Pruszków. Obóz istniał od 6 sierpnia 1944 r. do 16 stycznia 1945 r. na terenie warsztatów kolejowych. Warsztaty wybudowane zostały pod koniec XIX wieku dla remontów taboru Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i okolone wysokim murem betonowym. Od 30 września 1939 r. Niemcy zorganizowali w Warsztatach w Pruszkowie-Żbikowie obóz dla polskich jeńców wojennych, zbudowali wysokie wieże strażnicze i bunkry strzelnicze. Przeszło przez obóz, który istniał 2,5 miesiąca około 20.000 żołnierzy. Formalną władzę w obozie dzierżył Wehrmacht, ale gestapo i lekarze decydowali o losie więźniów. Selekcje opierały się na ocenie „na oko” i były dramatyczne. Przez obóz przeszło około 650.000 mieszkańców Warszawy, w tym około 18.000 powstańców poszło do niewoli, w tym ponad dwa tysiące kobiet. Około 60.000 ludzi wywieziono do obozów koncentracyjnych, wśród nich także kilkunastoletnie dzieci. Około 90.000 młodych ludzi wywieziono do obozów pracy przymusowej, gdzie panowały warunki prawie takie jak w obozach koncentracyjnych. Około 350.000 ludzi starych, chorych i rannych oraz kobiet z małymi dziećmi wywie-

ziono przymusowo na teren Generalnego Gubernatorstwa. Trzeba wspomnieć, że przez Pruszków przeszedł także były prezydent RP. profesor Stanisław Wojciechowski w wieku 75 lat.

27 października 1944 r. do wsi Sokółów koło Pruszkowa przyjechali samochodem Niemcy. Zabrali matce Kennkartę i powiedzieli, że nazajutrz przyjadą po nas. Rzeczywiście zabrali od gospodarza Woźniaka nas czworo (matkę, Mariana, Leona i Sylwestra) a także Annę Natanek z córką. Po drodze, jadąc przez Ursus, zabierali jeszcze innych ludzi. Wjechaliśmy do Durchgangslager 121 i zostaliśmy wprowadzeni do hali nr 5, ogromnej, z torami kolejowymi, już zaludnionej.

Było tu dużo ludzi starych, kobiet oraz młodzieży i dzieci. Na betonowej podłodze wałały się w nieładzie deski, części szaf i różnych mebli, na których leżeli ludzie w ubraniach. Na tych legowiskach roilo się od robactwa jeszcze po poprzednich mieszkańcach. Nas też w obozie oblażyły wszy. Całymi nocami niektórzy jęczeli, inni wychodzili lub kręcili się po hali, jeszcze inni szukali jakiegoś przykrycia lub po prostu kradli co się dało.

Do hali przychodziły polskie pielęgniarki z pomocą ludziom. Wyżywienie stanowiła rano kawa zbożowa bez cukru i mleka oraz pajda chleba (około 25 dkg). Po południu — zupa, a raczej lura z jednym kartoflem ... i to wszystko.

Co jakiś czas Niemcy robili zbiórki mężczyzn i młodzieży i wybierali „na oko” ludzi do pracy w Warszawie, skąd grabili pozostawiony przez ludność dobytek.

3 listopada nastąpił dzień przygotowań do wyjazdu. Zaczął się ruch między ludźmi o dzieci, gdyż Niemcy kierowali do szeregów rodziny. Do matki doskoczyła jedna kobieta i błagała o to by mogła trzymać za rękę mego najmłodszego brata — Sylwestra, żeby Niemcy widzieli, że ona jest „Mutter”. Sylwester bał się i wyrывał, ale przeszliśmy szczęśliwie przez 5 kolejnych selekcji i dostaliśmy się do wagonu na Gubernię. Ta kobieta dała matce obrazek jakiejś świętej z napisem cyrylicą i grzebień do wyczesywania wszy. Zachowałem je do dziś na pamiątkę.

Selekcja była okropna, bo niekiedy rozdzielano rodziny na różne wagony. My weszliśmy z drewnianej rampy na wagon — węglarkę, bez dachu, na której było już pełno ludzi. Za kilka godzin, po sformowaniu pociągu, nastąpił odjazd w nieznane.

Wieziono nas jak bydło, bez żywności i bez możliwości załatwienia się. Długi pociąg węglarek jechał przez Skierniewice, Koluszki, Końskie i przed Skarżyskiem-Kamienną nieco zwolnił. Kilku ludziom udało się wyskoczyć i uciec, mimo że gdy biegli przez łąkę, zostali ostrzelani przez Niemców. Dalej po drodze widziałem ufortyfikowaną stację Suchedniów, otoczoną lasami.

Pociąg nie miał postojów. Jechał dalej przez Kielce, Jędrzejów, Miechów i Kraków-Główny. Tu był postój około pół godziny. Krakowiaczy zauważyli, że w wagonach są ludzie, rzucali nam chleb, ale eskorta niemiecka broniła im dostępu. Myśleliśmy, że może wiozą nas do Oświęcimia i byliśmy już w strachu. Ale około 20.00 pociąg węglarek ruszył w ciemność przez Bochnię, czyli na wschód i stanął około 21.30 na stacji Słotwina-Brzesko.

Stacja była oświetlona, bo chłopcy wozami konnymi przywozili na wagony kontygentowe kartofle. Nasz wyładunek nastąpił szybko. Niemieccy konwojenci odeszli, a nas chłopcy zabierali na opróżnione z kartofli wozy. Dojechaliśmy z nimi do gminy

Zakliczyn nad Dunajcem. Wójt przetrzymał nas na podłodze korytarza w ratuszu od 3 do 6 listopada. Dano nam tam jeść i urządzono łaźnię natryskową. Część wszy została wytepiona w łaźni parowej. 7 listopada chłopcy wywieźli nas wozami do wsi Olszowa, 9 km od Zakliczyna w kierunku Nowego Sącza, do którego było jeszcze 29 km.

W Olszowej sołtys tymczasowo umieścił nas (sześć osób) w łazience pałacowej. W pokojach przebywała właścicielka majątku i wojsko niemieckie. W pałacowej łazience mieszkaliśmy chyba 3 dni — do 9 listopada, a potem sołtys przeniósł nas do pokoju Julii Stolarczyk. W kuchni żyła jej siostra Justyna Sobolowa z synem Franciszkiem, lat ok. 24. Przez drzwi wejściowe wiodła droga do obory — w lewo, a w prawo — do mieszkania.

Gospodynie były biedne, miały jedną krowę i pół hektara ziemi. Cała wieś też była biedna. Matka chodziła po domach żebrac, a ludzie dawali trochę chleba, fasoli, kukurydzy, kartofli czy mąki, i tak co parę dni matka obchodziła po proszonymu kolejne chałupy. Co drugi dzień mleczarnia w Zakliczynie dawała po 1 litrze mleka na dziecko i ja z matką na zmianę chodziliśmy 18 km po mleko. Do palenia w piecu sołtys przydzielił matce i Natankowej na pniu sześć olch nad potokiem. Gdy je zrąbały, gospodarz ze wsi przywiózł drewno pod dom.

Po świętach Bożego Narodzenia 1944 r. kolędował u nas ksiądz z parafii św. Justyny z Paleśnicy i zostawił obrazek, który mam do dziś, z napisem „Z błogosławieństwem pasterskim + Franciszek Lisowski Biskup Tarnowski”. W święta nie mieliśmy specjalnego jedzenia. Zima tu była ostra, z dużym śniegiem. Spaliśmy na podłodze drewnianej pod piecem w pokoju, na słomie pod kołdrami, użyczając jednej koldry Natankowej, która w sierpniu nic nie zdążyła wziąć na zimę.

Tak wygnańcy z Warszawy czekali wyzwolenia, tym niecierpliwiej, że cały czas było słyhać echo armat spod Jasła. Gdy front się zbliżał, to Niemcy około 15 stycznia 1945 r. cały dzień i noc uciekali z Nowego Sącza na Kraków samochodami i wozami konnymi zrabowanymi Polakom.

Nastał słoneczny, mroźny dzień 16 stycznia. Była cisza na szosie, a w południe na dwóch koniach pojawił się patrol rosyjski. Za parę godzin zjawiała się już cała grupa rosyjskich żołnierzy z czerwonymi gwiazdami w czapkach. Szukali germańców w lesie, jednego zabili przed domem przy szosie, gdzie leżał w śniegu. Na drugi dzień jeden żołnierz przyniósł zakrwawiony niemiecki mundur na sprzedaż za bimber.

Po sprawdzeniu okolicy, 10 żołnierzy rosyjskich przyszło do nas na noc spać. Obszukali garnki, wszystko zjedli i natychmiast położyli się w ubraniach na podłogę spać. Razem w jednym pokoju spało nas 16 osób. Nazajutrz wyjechali. Cieszyliśmy się wspólnie, że germańców już nie ma, ale ostra zima trwała dalej. Zabici Niemcy przy szosie do Zakliczyna leżeli nago aż do wiosny.

W miesiąc po wyzwoleniu, pod wieczór przyszło do nas porozmawiać trzech polskich milicjantów. Jeden, który nie był w wojsku, repetował karabin, mierząc w piec kuchenny i wystrzelił, a pocisk przebił gliniany piec i ścianę i o mało co zabiłby kogoś z nas. Odbił się od podłogi i trafił w obraz pod sufitem. Tymczasem życie biegło po staremu. Matka zachorowała na różę na nodze, ale została wyleczona przez znachorkę ludowym sposobem. Cała wieś wiedziała, że Rosjanie skradli i wypili księdzu w Paleśnicy wino mszalne.

Gdy zbliżała się wiosna, matka zaplanowała wyjazd do Warszawy. Uzyskała policyjne wymeldowanie z Olszowej do Warszawy dla Marty Potograbskiej z trojgiem dzieci (z dnia 22 marca 1945 r.) oraz zaświadczenie nr 4383/45 Zarządu Gminy w Zakliczynie powiat Brzesko, że Marta Potograbska, wysiedlona z Warszawy, obecnie zamieszkała w gromadzie Olszowa, gmina Zakliczyn, udaje się z powrotem na swoje stare miejsce zamieszkania do Warszawy z trojgiem dzieci. Uprasza się wszystkie władze o udzielenie wyżej wymienionej pomocy. Wójt Gminy — Zalasieński Edward i pieczęć.

28 marca pożegnaliśmy się z panią Sobolową, Frankiem i Stolarczykową, dziękując za przyjęcie pod dach. Pieszko dotarliśmy do Zakliczyna, skąd rosyjski samochód ciężarowy podwiózł nas do wysadzonego mostu na Dunajcu. Za mostem zabrali nas kolejni Rosjanie, ale po paru kilometrach wyrzucili, bo nie mieliśmy bimbru. Potem następny samochód ciężarowy, też wojskowy, zawiózł nas do Brzeska. Stąd przeszliśmy pieszo 3 km do stacji PKP Słotwina-Brzesko i dojechaliśmy wieczorem wagonem krytym do stacji Bochnia. Pociąg przepuszczał transporty wojskowe z cysternami. Między stojącymi wagonami żołnierze po ciemku plądrowali, aż wywiązała się strzelanina pomiędzy Rosjanami a polską ochroną kolei. Kolejarze radzili nam przenocować na stacji Bochnia, bo w wagonach może być dla nas niebezpiecznie.

Rano 29 marca wsiedliśmy we czworo na pomost wagonu — cysterny 60 tonowej, 4 osiowej, a Natankowa do drugiego wagonu i z Bochni dojechaliśmy tym pociągiem z benzyną dla frontu do stacji Kraków-Płaszów. Dalej przez Wisłę pociąg nie jechał z powodu wysadzonego mostu. Matka zaczęła woźnicę z koniem, by nas podwiózł do dworca głównego, lecz on zażądał pieniędzy, których nie mieliśmy. Pieszko doszliśmy więc na plac Szczepański po pieniądze do księdza, ale go nie było. Niedługo zabrał nas pociąg osobowy do Warszawy Zachodniej.

30 marca byliśmy już w naszym mieście. Ze strachem i zdziwieniem patrzyliśmy na spalone, zmaltretowane domy i na kupy gruzów. Nasz dom na Szwoleżerów 7 — zdewastowany, a w naszym mieszkaniu nr 22 nawet okien nie było. Na podłodze leżały porozrzucane nasze papiery oraz stała woda z deszczu i śniegu. Żadnych mebli, tylko drzwi otwarte ocalały. Żal nas ogarnął. Myśleliśmy — co teraz robić dalej? Z barbarzyńsko zniszczonej Warszawy pojechaliśmy do Radoszyc i tam spotkaliśmy się z śp. ojcem. Stąd zaraz po świętach wielkanocnych wyjechaliśmy do Poznania.

Marian Jan Potograbski

2.4. Konfrontacja Armii Krajowej z wkraczającą Armią Czerwoną w latach 1944-1945

Wstęp

„Urodzony w niewoli, okuty w powiciu, ja tylko jedną taką wiosnę miałem w swoim życiu”, pisze Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”.

Ja również urodziłem się w niewoli, pod zaborem rosyjskim, ale miałem wiele szczęśliwych wiosen w wolnej Polsce.

Wykształcenie od elementarnego poprzez średnie i Szkołę Podchorążych Artylerii w Toruniu otrzymałem w wolnej i niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej.

Po sześciu latach służby jako oficer 3 pułku artylerii lekkiej Legionów w Zamościu rozpocząłem studia w Wyższej Szkole Wojennej, które przerwał mi wybuch drugiej wojny światowej.

W początkowym okresie Polski Niepodległej jako jedenastoletni chłopiec obserwowałem łuny i słyszałem huk armat, gdy w sierpniu 1920 roku Armia Czerwona atakowała Włocławek, położony nad Wisłą, królową rzek polskich.

Jako uczeń włocławskiego gimnazjum im. Długosza, niemal codziennie obserwowałem żelazne bariery na bulwarach nadwiślańskich porysowane kulami bolszewickimi w 1920-roku.

Chodziłem też na wzgórze po drugiej stronie Wisły pod pomnik — poległych żołnierzy polskich, obrońców Włocławka przed czerwonymi najeźdźcami. Pomnik ten zniszczony w czasie II wojny światowej, dotychczas nie został odbudowany, natomiast w miastach polskich roi się od pomników ku „chwale” żołnierzy bolszewickich, którzy polegli przynosząc na bagnietach Polsce nowe jarzmo niewoli.

W czasie Kampanii Wrześniowej 1939 roku, wchodziłem w skład sztabu 3 dywizji piechoty Legionów jako oficer służby wywiadowczej artylerii. W czasie walk w Górach Świętokrzyskich w bitwie pod Ilżą objąłem dowództwo baterii artylerii gdy jej dowódca został ranny.

Po bitwie pod Ilżą prowadzę straż przednią uzbrojonych resztek 3 dywizji piechoty, za Wisłą pod Solcem, przez tereny opanowane już przez wojska niemieckie.

Po reorganizacji oddziałów w rejonie Chełma wchodziłem w skład sztabu dywizjonu artylerii. Po bitwie pod Tomaszowem Lubelskim dostaję się do niewoli, z której uciekam w czasie transportu jeńców w głąb Rzeszy.

W styczniu 1940 roku przeprawiając się w pojedynkę na Węgry w rejonie Jasło-Krosno, w pobliżu granicy Słowackiej, natknąłem się na wojskową organizację podziemną Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), będącą w początkowej fazie rozwoju.

W Miejscu Piastowym na południe od Krosna spotkałem się z inspektorem ZWZ na Podkarpaciu kpt. Stanisławem Pieńkowskim. W skład Inspektoratu wchodziły powiaty: Jasło, Krosno, Sanok, Brzozów i Lesko.

Komendantami Inspektoratu Podkarpacie byli kolejno: kpt. Stanisław Pieńkowski ps. „Strzembosz”, mjr Witold Obidowicz ps. „Orszak”, ppłk Łukasz Grzywacz-Świtalski ps. „Mikołaj”, mjr Wincenty Rutkowski ps. „Haszysz” i mjr Józef Modrzejewski ps. „Lis”.

Obszar Polski, pod względem organizacyjnym, był podzielony na okręgi, odpowiadające przedwojennym województwom: z części województwa lwowskiego i wschodniej części woj. krakowskiego stworzono w drugiej fazie okupacji niemieckiej, Podokręg Rzeszowski. Komendantem tego podokręgu był plk Kazimierz Putek ps. „Zworny”.

Stworzono ten podokręg ze względu na wielkość Okręgu Krakowskiego jak i odtwarzania sił zbrojnych woj. lwowskiego.

Powiaty Inspektoratu Podkarpacie swymi południowymi częściami wchodzą w głąb Karpat, opierając się o szczyty górskie, stanowią granicę polsko-czechosłowacką. Terenu tego nie można jednak nazwać karpackim, gdyż główne skupiska osiedli nie mieszczą się w strefie górskiej, lecz w tak zwanych dolach jasielsko-sanockich, stanowiących część Podgórza.

Zarówno północna strefa Podgórza jak i południowa — górska tworzą labirynt gór, dolin, wąwozów, rzek, rzeczek i potoków. Z większych rzek można wymienić Wisłokę, Wisłok, San Jasiołkę i Ropę.

Północna część tego obszaru w niewielkiej tylko części, natomiast południowa w większości jest pokryta lasami. Powyższe ukształtowanie terenu i fakt, że znajduje się tu kilka przełęczy (dukielska, łupkowska, baligrodzka i żmigrodzka) nadaje temu terenowi poważne znaczenie strategiczne.

Teren ten był bazą wypadową Armii Czerwonej w uderzeniu na Słowację, jesienią 1944 roku. Teren ten również nadaje się doskonale na działania partyzanckie.

Na obszarze jasielsko-sanockim jest rozwinięte górnictwo, przemysł mineralny i chemiczny. Głównie rozwijał się tu przemysł naftowy. Jest tu kilka rafinerii i liczne szyby wiertnicze. Właściciele małych zagonów stawiali się zamożnymi ludźmi a wiertarze, którzy opuścili swój własny kraj byli znani w szerokim świecie.

Teren Inspektoratu Podkarpackiego zamieszkały był głównie przez ludność polską ale wzdłuż granicy słowackiej w pasie około 35 km szerokości były wsie zamieszkałe przez Łemków, wśród których ruch ukraiński zrobił poważne postępy.

Im dalej na wschód tym więcej było ludności ukraińskiej. Najmniej było w powiecie jasielskim, więcej w krośnieńskim. W powiecie sanockim Ukraińcy stanowili połowę ludności, a już w powiecie leskim mieli przewagę. Duża część Ukraińców była przychylna Niemcom.

Działy tu bezkarnie bojówki nacjonalistyczne ukraińskie współpracujące z niemieckimi władzami policyjnymi. Niemcy zorganizowali we wsiach łemkowskich policję ukraińską, a w Sanoku zatrudnili w urzędach wielu Ukraińców.

Pierwszym zadaniem bojówek ukraińskich było wyłapywanie Polaków, którzy po Kampanii Wrześniowej 1939 roku usiłowali przekroczyć granicę słowacką i węgierską w drodze do Francji.

Wielu mężczyzn, szczególnie wojskowi i młodzież, zapelniało w latach 1939-1940 więzienia niemieckie w Jasle i Sanoku. Wielu z nich zostało następnie rozstrzelanych w lasach warzyckich.

Obszar powiatu jasielskiego ma formę równoramiennego trójkąta. Swoim ostrym kątem opiera się na masywie górskim środkowych Karpat, stanowiąc odcinek granicy polsko-słowackiej. Na tym odcinku granicy znajduje się przełęcz Żmigrodzka.

W środkowej części powiatu na malowniczym, falistym terenie znajduje się jego stolica miasto Jasło, gdzie zbiegają się trzy rzeki: Wisłoka, Jasiołka i Ropa.

Pracę konspiracyjną rozpocząłem jako komendant Obwodu (powiatu) Jasło. Na tym stanowisku przetrwałem przez całą okupację niemiecką. Rozpoczęcie pracy konspiracyjnej ułatwili mi mgr Antoni Zawadzki, Józef Zychowicz i mgr Kazimiera Nowak. Nieco później wybitnie przyczynił się do rozwinięcia konspiracji na terenie powiatu jasielskiego por. brygady pancerniej Antoni Holik.

„Burza”

W końcu 1942 roku załamała się niemiecka maszyna wojenna w Rosji. Władze polskie przewidywały, że wkrótce front niemiecko-sowiecki przetoczy się przez ziemie polskie. Gdy 25 kwietnia 1943 roku rząd sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim plany Stalina w stosunku do Polski stały się oczywiste. Armia Czerwona na bagnietach miała przynieść rewolucję na ziemie polskie.

Kontynuowanie polskiego podziemia w tej skali jak pod okupacją niemiecką nie było możliwe. Władze polskie, zgodnie z życzeniami aliantów chciały podkreślić pozytywny stosunek do Rosji, a zarazem manifestować suwerenność na ziemiach polskich.

Stąd właśnie wzięła się decyzja o działaniach powstańczych „Burza” na tyłach armii niemieckiej w miarę przesuwania się frontu niemiecko-sowieckiego na Zachód. Władze polskie zdawały sobie sprawę, że odbudowa państwa polskiego będzie zależeć od dobrej woli Rosjan i nacisku aliantów.

Działania „Burzy” miały polegać na zaciętym nękaniu cofających się niemieckich straży tylnych, oraz na silnej dywersji, w szczególności na komunikację. Do działań miały być użyte wszystkie oddziały partyzanckie i dywersyjne oraz część oddziałów liniowych.

Komendanci Okręgów zostali upoważnieni do uruchamiania lokalnych działań powstańczych w czasie przesuwania się frontu.

Dowódcy okręgów mogli przejąć swoje uprawnienia na Inspektora a nawet komendantów obwodów (powiatów), gdyż istotą nie była równoczesność lecz podejmowanie akcji w miarę dojrzewania możliwości skutecznego nękania Niemców.

Dowódcy Armii Krajowej i ewentualnie przedstawiciele lokalnej administracji polskiej mieli występować w roli gospodarza wobec wkraczających oddziałów Armii Czerwonej i współpracować z dowódcami sowieckimi w walce przeciw Niemcom lecz na platformie pełnej zależności od rządu polskiego w Londynie.

Nie miały jednak uznawać narzuconego tzw. Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN), to jest namiastki komunistycznego rządu polskiego.

Jako komendant obwodu (powiatu) Jasło otrzymałem rozkaz do działań powstańczych „Burza” 26 lipca 1944 roku. Stan liczebny Armii Krajowej na terenie powiatu wynosił 2700 ludzi. Do walki w pierwszej fazie weszło 570 żołnierzy AK, tworząc 5 pułk strzelców podhalańskich pod moim dowództwem.

Pułk wystąpił w składzie: dowództwo pułku, oddziały specjalne pułku i cztery kompanie strzeleckie. Jedna kompania strzelecka w stanie alarmowym pozostała

w Jasle. Miała ona uderzyć od wewnątrz gdyby doszło do zdobywania Jasła od wewnątrz.

W skład oddziałów specjalnych pułku wchodziły: pieszy pluton szturmowy, pluton konnych zwiadowców, pluton przeciwpancerny i patrol minerski.

Rozlokowanie oddziałów do walki było następujące: dowództwo pułku z oddziałami specjalnymi i kompanią por. W. Dąbka ps. „Łado” w środkowej części powiatu kompania por. Przybyłowicza w lasach rejonu góry Liwocz i dwukompanijny batalion por. W. Szado ps. „Hryć” na północ od miasteczka Żmigród.

Spośród 40 bitew i potyczek stoczonych przez oddziały AK z Niemcami na terenie powiatu jasielskiego wyróżnia się bitwa na Gilowej Górze, położonej na zachód od Jasła.

W bitwie tej kompania por. E. Przybyłowicza ps. „Bem” z 5 pułku strzelców podhalańskich rozbiła kolumnę niemiecką złożoną z pojazdów mechanicznych z obsługą około 120 ludzi.

W tej akcji kompania „Bema” zdobyła większą ilość broni.

15 sierpnia 1944 roku oddziały 5 psp. AK zebrane w lasach rejonu Czełużnica obchodziły Święto Żołnierza Polskiego. Mszę św. odprawił, sprowadzony z Dębowca, ks. Szubarga. Po mszy św. odbył się przemarsz oddziałów.

W wyniku operacji lwowsko-sandomierskiej w okresie od 13 lipca do 7 sierpnia 1944 roku wojska I Frontu Ukraińskiego wkroczyły na teren Podokręgu Armii Krajowej Rzeszów.

Wchodząca w skład tego frontu 60 armia, w drugiej połowie sierpnia posuwała się na kierunku Rzeszów-Dębina.

26 lipca 1944 roku Komendant Podokręgu wydał rozkaz do działań powstańczych „Burza”. W rejonie Rzeszowa weszły do akcji 17 pp. AK, 38 pp. AK i 39 pp. AK z 24 dywizji piechoty AK.

2 sierpnia Rosjanie zajęli Rzeszów przy słabym oporze niemieckim. 17 pp. AK brał udział w opanowaniu miasta.

Oddziały Armii Krajowej pełniły w Rzeszowie służbę policyjną. Po ukończeniu „Burzy” w rejonie Rzeszowa komendant Podokręgu płk dypl. Kazimierz Putek ps. „Zworny” miał 7 batalionów ze swego terenu i kilka oddziałów, które spłynęły na Rzeszowczyznę z Okręgu Lwowskiego. 5 i 6 sierpnia odbywają się rozmowy Sztabu Podokręgu z władzami sowieckimi, które nie doprowadziły do porozumienia.

Wreszcie na żądanie władz sowieckich płk „Zworny” poleca oddziałom AK, pełniącym w Rzeszowie służbę policyjną złożyć broń.

Kpt. Stanisław Pieńkowski na rozkaz płk. „Zwornego” był obecny przy składaniu broni przez żołnierzy AK.

Po złożeniu broni sowieci zezwolili żołnierzom AK rozejść się do swych domów.

W końcu sierpnia oddziały 38 i 60 armii sowieckiej, oraz zmotoryzowany korpus kawalerii gen. Baranowa osiągnęły linię Szczecin-Krosno, kończąc tym operację Lwowsko-Sandomierską. W czasie tej operacji wojska sowieckie opanowały południowo-wschodni skrawek powiatu jasielskiego, między innymi wsie Smarzowa i Grudna.

Po osiągnięciu wyżej wymienionej linii dowództwo sowieckie planowało przejście do obrony strategicznej by wykorzystać ją do przygotowania na styczeń 1945 roku.

Tymczasem jednak, 29 sierpnia wybuchło powstanie na Słowacji. Po ujarzmieniu Czechosłowacji w 1939 roku Hitler stworzył Protektorat Słowacji na czele którego stanął Józef Tiso.

W miarę niepowodzeń niemieckich czechosłowacki rząd emigracyjny w Londynie przygotowywał powstanie w Czechosłowacji. Głównym terenem miała być Słowacja ponieważ była najbardziej wysunięta w kierunku zbliżającego się frontu sowieckiego jak również i to, że miała dobrze uzbrojoną, regularną armię w sile 32 tysiące.

2 sierpnia 1944 roku czechosłowacki rząd emigracyjny otrzymał od Stalina przyrzeczenie wsparcia powstania w Słowacji.

Dowództwo sowieckie chcąc wykorzystać to powstanie dla wyjścia na tyły wojsk niemieckich, będących jeszcze w Rumunii, postanowiło rozpocząć z początkiem września nową ofensywę z rejonu Krosno przez Przełęcz Dukielską na Preszów.

Podkarpacie stało się więc podstawą wyjściową dla operacji dukielsko-preszowskiej. Główne uderzenie miała wykonać 38 armia I Frontu Ukraińskiego pod dowództwem gen. płk. K.S. Moskaleńki. 52 korpus tej armii miał wyruszyć z rejonu Sanoka.

Drugi rzut stanowiły wojska szybkie: I gwardyjski korpus kawalerii gen. Baranowa, 25 korpus pancerny i I korpus Czechosłowacki.

8 września 1944 roku o godzinie 6.45 do natarcia ruszyły trzy korpusy sowieckie: 52 — na Dębowiec, 101 — na Machnówkę i 67 na Iwonicz.

305 dywizja 101 korpusu, dowodzonego przez płk. Wasilewskiego wdarła się 8 września do Moderówki, a następnie do Tarnowca i Potakówki w powiecie jasielskim.

Do 9 września 305 dywizja opanowała Dobrucową, Sądkową i Wrocankę i prowadziła walki o Umieszcz, Gliniczek, Roztoki i pierwsze domy Glinka Polskiego.

Dowództwo 305 dywizji znajdowało się w Ustrobnej a dowództwo jednego z pułków tej dywizji we wsi Wrocanka.

W nocy z 12 na 13 września przedarł się przez front niemiecki I gwardyjski korpus kawalerii pod dowództwem gen. Baranowa kierując się na wieś Krempna.

Wkrótce został on odcięty od sowieckich sił głównych przez Niemców. Gdy korpus Baranowa był odcięty współpracował z nim d-ca dwukompanijnego batalionu psp. por. Władysława Szado.

Po zdobyciu m. Dukla 20 września Sowietci uderzyli na Tylawę by połączyć się z odcięтым korpusem kawalerii gen. Baranowa, lecz bez powodzenia. Jednak 26 września korpus Baranowa przedarł się przez kordon niemiecki i dołączył do sił głównych. Dopiero 6 listopada sowieci po krwawych bojach sforsowali Przełęcz Dukielską i walki przeniosły się na teren Słowacji.

Straty w zabitych w operacji karpacko-dukielskiej wynosiły 84 tysiące żołnierzy sowieckich i 6 tysięcy czechosłowackich, a średnie tempo natarcia nie przekraczało 200 metrów dziennie.

W czasie działań powstańczych „Burza”, stolica bohaterskiego powiatu Jasło przeżyła tragedię podobną do tragedii stolicy Polski — Warszawy. Na podstawie zbrodniczego planu polakożercy, starosty jasielskiego dr. Waltera Gentza, po ewakuowaniu ludności, miasto Jasło zostało splądrowane przez Niemców i niemal doszczętnie zniszczone.

13 września 1944 roku ukazało się na murach miasta zarządzenie o powszechnej ewakuacji mieszkańców. W ciągu trzech dni miasto opustoszało, a następnie oddziały niemieckie przystąpiły do systematycznego niszczenia. Barbarzyńcy niemieccy po splądrowaniu miasta minowali i palili budynki.

Pozostało niewiele domów na przedmieściach, które po działaniach wojennych mogły pomieścić zaledwie około 700 osób. Tyłu mieszkańców liczyło miasto Jasło po zakończeniu II wojny światowej.

Barbarzyństwo to nie było podyktowane koniecznością wojenną. Była to zemsta starosty Gentza i oprawców gestapo na mieszkańcach Jasła za zdecydowaną walkę podziemia akowskiego na terenie powiatu jasielskiego.

Spotkania z sowietami na terenie obwodu AK (powiatu) Jasło w czasie „Burzy”

Pierwszy zetknął się z sowietami w rejonie góry Liwocz na zachód od Jasła por. Edward Przybyłowicz ps. „Bem”, dowódca kompanii 5 pułku strzelców podhalańskich Armii Krajowej.

Był to oddział saperów Armii Czerwonej złożony z jedenastu ludzi, który wracał na wschód po zniszczeniu mostu na Dunajcu.

Por. Bem poinformował oddział sowiecki co do dalszej marszruty, by uniknąć spotkania z oddziałami niemieckimi. Spotkanie to miało miejsce na początku sierpnia 1944 roku.

W kilka dni później, 13 sierpnia 1944 roku pluton konnych zwiadowców 5 psp. pod dowództwem ppor. Andrzeja Zwierzniaka ps. „Ostroga” natknął się na czołówki sowieckie w rejonie wsi Gogolewa. Ppor. Ostroga udał się z patrolem konnym do dowódcy batalionu sowieckiego, który proponował ppor. Ostrodze przeprowadzenie oddziału na teren już opanowany przez Armię Czerwoną, gdzie jego ludzie mieli być uzbrojeni w nową broń i wcieleni do armii Berlinga. Ppor. Ostroga oświadczył, że musi najpierw zebrać swój oddział i porozumieć się ze swoim przełożonym. Sowietci pozwolili mu wrócić do swego oddziału.

W trzy dni później, 16 sierpnia 1944 roku otrzymałem meldunek od dowódcy oddziału specjalnego pułku ppor. Zawadzkiego ps. „Teresa”, że jest on w kontakcie z sowieckim oddziałem partyzanckim, który poprzedniej nocy przeszedł przez front. Pierwszym pytaniem dowódcy grupy skierowanym do ppor. Teresy było: Wy co za jedni? PPR lub Armia Ludowa, czy może Łońdyńczyki? Gdy otrzymał odpowiedź, że oddział jest jednostką Armii Krajowej nie okazał niezadowolenia. Prosił o informacje odnośnie oddziałów niemieckich, o pomoc w uzyskaniu żywności i o przewodników w dalszym marszu na zachód. Ppor. Teresa ustosunkował się pozytywnie do prośby dowódcy sowieckiego oddziału partyzanckiego.

W zetknięciu się z ludnością cywilną komuniści rozwijali propagandę za Wasiłowską i Osóbką Morawskim to jest za PKWN. Również wyrażali się o oddziale ppor. Teresy, że to są „burzujskie” partyzanty.

Jeden z sowieckich partyzantów powiedział: „my tu przyjdziemy i już zostaniemy, gdzie noga żołnierza rosyjskiego stanie, już się nie cofnie”.

Przewodników akowskich, jak się później okazało, sowieci namawiali by pozostali w ich oddziale.

Następnego dnia ppor. Teresa nawiązał kontakt z oficerską „rozwiędką” Armii Czerwonej wyposażoną w radiostację. Po otrzymaniu raportu od Teresy o pobycie „rozwiędki” na naszym terenie udałem się z tłumaczem na rozmowę z dowódcą sowieckiej „rozwiędki”. Poinformowałem o sile i działalności naszych oddziałów na tym terenie oraz o rozlokowaniu niemieckich oddziałów. Od dowódcy „rozwiędki” dowiedziałem się, że Armia Czerwona nie będzie uderzać na Jasło w najbliższym czasie.

Po naszym spotkaniu „rozwiędka” podeszła w rejon miasteczka Kołaczyce i obserwowała ruch na szosie Jasło-Pilzno.

W kilka dni później przerzuciłem dowództwo 5 psp AK z oddziałami specjalnymi pułku do lasów Czełuśnica-Gąsówka około 7 km na wschód od Jasła, gdzie już uprzednio obozowała jedna kompania 5 psp pod dowództwem por. W. Dąbka ps. „Łado”.

8 września 1944 roku przybył do naszego obozu kapitan sowiecki i prosił o kilku ludzi celem zlikwidowania gniazda niemieckich karabinów maszynowych na skraju lasu i otrzymał ich od naszego dowódcy kompanii.

Kapitan sowiecki, który znał pozycję niemieckich karabinów tak nieszczęśliwie poprowadził oddział, że sam został zabity i z naszych ludzi jeden, a drugi ranny.

Tego samego dnia przeszedł przez wysunięte linie oporu niemieckiego inny oficer sowiecki, przekazując mi życzenie swego dowódcy pułku, abym z moim oddziałem trzymał lasy Czełuśnica-Gąsówka, gdy sowieckie oddziały będą działać w kierunku Jasła. Zgodziłem się na tę propozycję, że swoimi oddziałami uderzę z lasów na Jasło, a równocześnie jedna z moich kompanii będąca w stanie alarmowym w Jasle wykonała akcję od wewnątrz.

Dla utrzymania łączności z dowódcą pułku sowieckiego na naszym odcinku wysłałem ppor. Wilhelma Bigdę ps. „Strzemię” jako oficera łącznikowego. Ppor. Strzemię dobrze władał językiem rosyjskim.

Następnego dnia to jest 9 września 1944 roku przybył inny oficerski patrol sowiecki, którego dowódca przekazał mi wezwanie dowódcy dywizji sowieckiej, abym przybył dla omówienia współdziałania.

Chcąc utrzymać współpracę z oddziałami sowieckimi w walce z Niemcami w myśl rozkazów polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, udałem się na rozmowy z dowódcą sowieckim, oddając dowództwo swojemu zastępcy.

Konno z jednym żołnierzem i oficerem sowieckim przejechaliśmy galopem przez linię wysuniętych gniazd oporu niemieckiego pod ogniem karabinów maszynowych. Przybyliśmy na wysunięty punkt dowódcy pułku sowieckiego we wsi Glinik-Polski. Wieś była przed naszym przybyciem atakowana przez kilka czołgów niemieckich i panowało wówczas jeszcze pewne zamieszanie w oddziałach sowieckich.

Zanim podeszedłem do dowódcy pułku, na chwilę spotkałem się z moim oficerem łącznikowym ppor. Strzemię, który uprzedził mnie, że ustosunkowanie się dowództwa sowieckiego do niego nie było przychylne, a nawet towarzyszący mu żołnierz — akowiec słyszał zapytanie dowódcy pułku skierowane do swego zastępcy politruka „co z nimi zrobić? — rozstrzelać?”.

Strzemię uważał, że to pytanie odnosiło się do niego i jego żołnierza, choć mogło się to odnosić do dwóch żołnierzy sowieckich, którzy stchórzyli w czasie ataku niemieckich czołgów, opuszczając swoje stanowiska.

W rozmowie z dowódcą pułku z 305 dywizji sowieckiej poinformowałem go, że reprezentuję Armię Krajową na terenie powiatu jasielskiego i podlegam rządowi polskiemu w Londynie. Dowódca pułku po porozumieniu się ze swoim zastępcą — politrukiem oświadczył, że jest tylko jeden rząd polski reprezentowany przez Osóbkę-Morawskiego. Następnie powiedział, że front niemiecko-rosyjski zatrzyma się na terenie na dłuższy czas. Zażądał abym ściągnął swoje oddziały przez pierwszą linię obrony niemieckiej na teren już opanowany przez Armię Czerwoną. Moje oddziały będą wycofane na tyły i po odpoczynku zostaną wcielone od oddziałów organizowanych przez gen. Berlinga.

Po tej rozmowie skierowałem się do mojego konia, aby wrócić do swoich oddziałów. Gdy już wsiadałem na konia dowódca pułku sowieckiego wezwał mnie do siebie i nakazał mi abym został przy jego dowództwie, a do ściągnięcia moich będzie wysłany mój podoficer z podoficerem sowieckim. Wydaje mi się, że dowódca pułku zmienił decyzję i zatrzymał mnie na polecenie swego zastępcy — politruka.

Byłem pewien, że moje oddziały nie będą sprowadzone ponieważ:

- 1) Mój zastępca „Żbik” był nastawiony na to, że gdybym nie wrócił bezzwłocznie to będzie znak, że zostałem aresztowany.
- 2) Oddziały były rozmieszczone w trzech różnych rejonach powiatu, między liniami obrony niemieckiej, gdzie poruszanie na większą odległość było niemożliwe bez ciężkiej walki.
- 3) Przed odejściem mojego podoficera do moich oddziałów szepnąłem mu „nie sprowadzać”.

Dawało mi to czas by w odpowiednim momencie wymknąć się spod opieki Sowietów. Ponadto gdyby sowieci nie mieli nadziei ściągnięcia moich oddziałów, mogliby je zniszczyć ogniem artylerii, gdyż znali ich rejony koncentracji przez spenetrowanie terenu jasielskiego bojowymi patrolami. Następnego dnia po moim przejściu frontu niemiecka artyleria ostrzeliwała jeden z obozów 5 psp. — było kilku żołnierzy rannych.

Wraz z ppor. Strzemię i dwoma innymi akowcami zostaliśmy odesłani do dowództwa pułku znajdującego się we wsi Wrocanka, gdzie zaopiekował się nami major szef sztabu pułku. Dołączył tam również dowódca partyzantki PPS — Józef Kucharki. Przy kolacji zakrapianej alkoholem prowadziliśmy rozmowy na tematy wojenne, nie poruszając spraw politycznych. Dotychczas nie byliśmy rozbrojeni.

Następnego dnia rano zostaliśmy odprowadzeni pod strażą do wsi Jaszczew, gdzie kapitan NKWD przesłuchał nas i rozbroił. Powiedział mi, że będziemy wysłani do wsi Ustrobna, gdzie będę rozmawiał z dowódcą 305 dywizji piechoty. Następnie dołączono nas do grupy żołnierzy sowieckich, zwolnionych z niewoli niemieckiej.

Nie był to dobry omen. Żołnierzom sowieckim wracającym z niewoli groził sąd wojenny, według rozkazu Stalina. Naszą przyszłość widzieliśmy w jeszcze czarniejszych kolorach, gdy Sowietci załadowali łopaty na wóz konny i wóz ten dołączyli do naszej kolumny. Stało przed nami widmo Katynia.

Gdy znaleźliśmy się we wsi Ustrobna odłączono nas akowców od żołnierzy sowieckich, byłych jeńców niemieckich i pod strażą umieszczoną w wiejskim domku. Jeden uzbrojony żołnierz miał nas pod swoją opieką.

Od czasu do czasu przychodził na naszą kwaterę oficer sowiecki i w dalszym ciągu upewniał mnie, że będę rozmawiał z dowódcą dywizji sowieckiej.

W tym czasie przy dowództwie dywizji w Ustrobnej oprócz już wspomnianego Józefa Kucharkiego, znalazł się również Jan Janasek („Barski”, „Konrad”), przedstawiciel polityczny PPS przy Inspektoracie AK Podkarpacie. Ruchy ich jednak nie były ograniczone, poruszali się swobodnie w Ustrobnej.

Drugiego dnia od przybycia do Ustrobnej do okna naszej kwatery poszedł Kucharski i zawiadomił mnie, że Janasek oskarża Armię Krajową wobec władz sowieckich o faszyzm oraz o likwidowanie komunistów i socjalistów i wskutek tego grozi mi w najlepszym wypadku Sybir.

Następnego dnia około południa, gdy strzegący nas żołnierz sowiecki wyszedł by w sąsiednim domu pobrać żywność dla siebie i dla nas, rozeszliśmy się w różnych kierunkach.

Klucząc między członami dowództwa dywizji i stanowiskami artylerii sowieckiej, udało się nam wyjść z pasa przyfrontowego i dotrzeć do naszych bas konspiracyjnych.

W krótkim czasie nawiązałem łączność z Rejonowym Inspektoratem AK i złożyłem meldunek o rozmowie z sowietami, podstępny zatrzymaniu i o ucieczce.

Moje oddziały będące jeszcze pod okupacją niemiecką pozostały w lasach otoczone niemieckimi oddziałami przyfrontowego pasa. Oddziały „Centrum” na zachód od Jasła zmuszone były rozwiązać się wkrótce po moim przejściu frontu.

Kompania por. Przybyłowicza w lasach góry Liwocz w północno-zachodniej części powiatu, ścigana przez silne oddziały niemieckie, o zmniejszonym stanie przedarła się do zgrupowania por. Szado w południowej części powiatu.

Zgrupowanie por. Szado w poważnie zmniejszonym stanie przetrwało do października 1944 roku.

W końcu listopada 1944 roku zjawiał się pplk „Radwan” na terenie Inspektoratu Podkarpacie i nawiązał ze mną kontakt.

Przewidując śledzenie „Radwana” przez NKWD, zaproponowałem mu nocne spotkanie poza Krosnem, biorąc ze sobą ubezpieczenie.

Na jego wezwanie do ujawnienia się oświadczyłem, że wobec znanego stosunku Rosji Sowieckiej do naszych władz, żołnierze Armii Krajowej odmawiają kategorycznie wykonania rozkazu ujawnienia się i tworzenia dywizji AK. Gdy mimo to „Radwan” nalegał, abym wykonał rozkaz Komendanta Podokręgu odpowiedziałem mu, że rozkaz ten nas nie obowiązuje, ponieważ został wydany przez przełożonego, który jest pod aresztem.

Na tym nasze spotkanie skończyło się. Nie wykonali tego rozkazu także inni Inspektorzy Podokręgu, wobec tego plk „Zworny” odmówił dalszej współpracy w akcji tworzenia dywizji akowskiej.

Podobnie odmówili dalszej współpracy oficerowie Sztabu Podokręgu. W pierwszej połowie stycznia 1945 roku płk Putek ponownie został aresztowany wraz z oficerami Sztabu z wyjątkiem por. Soboty i Michałowskiego.

Ponownie nakazano płk. Zwornemu tworzenie dywizji akowskiej, Zworny odmówił. Za odmowę płk Putek wraz z innymi oficerami sztabu został wywieziony do więzienia.

Por. Sobota ze sztabu „Zwornego” idzie na dalszą współpracę z Sowietami, usiłuje stworzyć dywizję, zbierając zaledwie około 270 akowców. Byli to przeważnie ludzie, którzy znajdowali się w więzieniu i uważali to za sposób uwolnienia się.

20 stycznia 1945 roku kpt. Strzembosz zostaje mianowany Komendantem Podokręgu Rzeszowskiego przez Komendanta Okręgu Krakowskiego płk. Nakoniecznikoff Klukowskiego ps. „Kruk”. Strzembosz miał przeprowadzić likwidację konspiracji AK.

W marcu 1945 roku płk Kruk został aresztowany.

19 lipca 1945 roku „Strzembosz” został aresztowany. Na polecenie władz sowieckich „Strzembosz” wysłał oficera do swego zastępcy mjr. Rutkowskiego ps. „Haszysz”, z wezwaniem do ujawnienia się. „Haszysz” odrzuca jednak to wezwanie. 20 października „Strzembosz” zostaje zwolniony z więzienia po podpisaniu deklaracji, że nie będzie dalej konspirował. UB żąda również podpisania odezwy od akowców by się ujawnili. W tej odezwie UB nazywa partyzanckie oddziały AK „bandami”. „Strzembosz” odmawia podpisania tej odezwy.

26 października 1945 roku „Strzembosz” ponownie aresztowany. UB oskarża go o ukrycie 5 radiostacji K-dy Podokręgu Rzeszów. Strzembosz mówi, że dał rozkaz zniszczenia tych radiostacji. Zamknięty w małej celi (łóżko bez materaca i koc, do której spływają brudy z ubikacji). Zwolniony ponownie w grudniu 1945 roku.

Moja kwatera u „Ciotek” w Męcince, będącej w pasie przyfrontowej, była często odwiedzana przez nocne patrole sowieckie, które przeprowadzały rewizje.

Miałem dwa sposoby uniknięcia spotkania z nimi. Jednym z nich było krycie się za podwójną ścianą pokoju, który znajdował się na poddaszu. Drugi polegał na tym, że na czas rewizji mieszkania u „Ciotek” przedostawałem się zakamuflowanym przejściem do mieszkania sąsiadów. Było to mieszkanie byłego wicestarosty krośnieńskiego Kirsznera.

Gdy nadchodził czas rewizji mieszkania Kirsznerów przenosiłem się z powrotem do „Ciotek”. W wypadku, gdy podejrzewaliśmy, że nie był to patrol bojowy, ale banda rabunkowa, po prostu nie otwieraliśmy drzwi, które były silnie zaryglowane.

Jednak trudno było odróżnić patrol bojowy od bandy rabunkowej sowieckich bojów. Pewnej nocy obudziło nas głośnie pukanie do drzwi. Po krótkiej naradzie doszliśmy do wniosku, że była to banda rabunkowa i zdecydowaliśmy nie otwierać drzwi. Stukanie stawało się coraz bardziej natarciowe, które zostało następnie wzmocnione biciem w drzwi kolbami karabinów i soczystymi rosyjskimi przekleństwami. Gdy i to nie pomogło dom nasz został ostrzelany i po paru minutach nastąpiła cisza.

Następnego dnia rano przekonaliśmy się, że rzeczywiście była to banda rabunkowa, gdyż dom w sąsiedztwie został obrabowany.

Wkrótce po tym napadzie zakwaterował się u „Ciotek” kapitan Armii Czerwonej z ordynansem. „Ciotki” przedstawiły mnie kapitanowi jako swego kuzyna. Początk-

kowo kapitan tolerował „kuzyna”, ale po pewnym czasie zaczął ujawniać podejrzenia. Wybuch nastąpił pewnego wieczoru przy stole w czasie rozmowy na temat stosunków w Polsce przed wrześniem 1939 roku.

Czerwony kapitan wyrażał się krytycznie o burżujskim rządzie polskim i marszałku Piłsudskim. Ja starałem się dowodzić, że nie było tak źle w Polsce jak on przedstawiał. Po krótkiej wymianie zdań kapitan wydobyl rewolwer, skierował przez stół wprost w moją twarz i wykrzyknął: „Ja ciebie zstreliu, a czemu nie skażu”.

Na prośby „Ciotek” schował rewolwer do futerału, wyszedł z pokoju i kazał swojemu żołnierzowi przygotować auto do odjazdu. Następnie stanął w drzwiach pokoju i kierując wzrok w moją stronę zaczął nucić: „pojediem, pojediem do sztaba, do sztaba”. Nie miałem wątpliwości, że zamierzał mnie aresztować przewieźć do sztabu dywizji i oddać w ręce NKWD.

Gdy po raz drugi kapitan wyszedł z pokoju, aby sprawdzić, czy auto było już gotowe do odjazdu, wyskoczyłem z domu w ciemności nocy i wkrótce znalazłem się w pobliskich krzakach.

Była godzina 10.00 wieczorem, a poruszanie się cywilów w pasie przyfrontowym po godzinie 9.00 wieczorem było surowo wzbronione. Zastanawiałem się nad planem dalszego działania.

Najbliższa moja melina to dom inżyniera naftowego Ludwika Dankmayera, którego zważyliśmy „Ludwiczkiem”, odległy półtora kilometra. Decyduję się część drogi do tej meliny przejść wzdłuż toru kolejowego, który przebiegał w pobliżu „Ciotek”.

Puszczam się w drogę, by po przebyciu kilkaset metrów znaleźć się w pobliżu mostu kolejowego na rzece Jasiołce. Nagle z odległości kilkudziesięciu metrów otrzymuję ogień pistoletu maszynowego. Rzucam się w zarośla i biegnę w dół rzeki, która właśnie przepływa w pobliżu domu Ludwiczka. Wkrótce znajduje się już na wysokości mojej nowej meliny. Przechodzę przez rzekę w bród i zbliżam się do domu Ludwiczka.

Okazuje się, że i ten samotny domek nie jest wolny od Czerwonej Armii. Na podwórku znajduje się kilka wojskowych aut, a więc i tu są zakwaterowani oficerowie sowieccy.

Ponieważ wędrówka nocna w poszukiwaniu innej kwatery wydaje mi się niemożliwa decyduję się wejść do domu Ludwiczka konspiracyjnie. Przypuszczając, że gospodarze nie zostali wyrzuceni ze swojej sypialni, podchodzę do okna i lekko stukam. Szczęście mi sprzyja bo okno gościnnego domu otwiera się cichutko i za chwilę jestem już wewnątrz.

Następnego dnia rano gram rolę „kuzyna” moich, nowych gospodarzy wobec oficerów sowieckich. Byli to oficerowie artylerii. Okazali się mniej podejrzliwi niż kapitan w domu „Ciotek” i nie kwestionowali mojego kuzynostwa.

Pewnego dnia w lutym 1945 roku wybrałem się do Sanoka na spotkanie z komendantem tamtejszego Obwodu. W tym czasie jedynym środkiem transportowym dla ludności cywilnej były pociągi towarowe i w dodatku tylko szczęściarze mogli dostać się do wnętrza wagonu. Reszta podróżowała na dachach lub zderzakach. W okresie zimowym taka podróż nie należała do przyjemności. W swojej wyprawie do Sanoka odbywałem właśnie podróż na zderzakach wagonów.

Gdy przybyłem do Sanoka było już godzina 9.00 wieczorem. Wiedząc, że w budynku stacyjnym znajduje się straż kolejowa, zdecydowałem się nie przechodzić przez budynek, lecz obejść go z boku by wyjść na ulicę. Gdy znalazłem się na dziedzińcu stacyjnym od strony ulicy natknąłem się na dwóch strażników kolejowych i zostałem aresztowany. Jeden z nich pozostał na miejscu, a drugi poprowadził mnie do wnętrza budynku. Miałem uprzednio informację, że na stacji kolejowej znajduje się dyżurny Bezpieki.

Nie miałem wątpliwości, że prowadzono mnie do niego dla sprawdzenia tożsamości. Wątpiłem, abym tę próbę przeszedł szczęśliwie. Pozostały tylko sekundy, aby uchronić się od kompletnej wpadki. Po wejściu do budynku stacyjnego, gdzie oświetlenie było bardzo słabe, pozbyłem się materiału kompromitującego.

Za paskiem miałem maleńki rulonik papieru z materiałem do odprawy z komendantem Obwodu Sanok. Przechodząc wzdłuż ściany zauważyłem małą wnękę — tam właśnie niepostrzeżenie wrzuciłem rulonik papieru.

Strażnik podprowadził mnie do drzwi biura i kazał poczekać przed drzwiami, a on wszedł do biura, aby zameldować „władzy” o zatrzymaniu osobnika. Wykorzystałem ten moment i rzuciłem się do ucieczki na peron, a następnie wzdłuż torów kolejowych.

Po przebyciu kilkuset metrów wyszedłem na ulicę i udałem się na miejsce spotkania. Komendant Obwodu wysłał niezwłocznie na stację kolejową jednego akowca — kolejarza, który odnalazł porzucony przeze mnie rulonik papieru z notatkami.

Następnego dnia opuściłem Sanok, wsiadając do pociągu na najbliższej stacji poza Sanokiem.

Pewnego marcowego poranka 1945 roku wybrałem się z Brozówki na kontakt do Jasła. Jechałem rowerem. Na wysokości wsi Wolica, wyjeżdżając z zakrętu z odległości około 100 metrów zobaczyłem przed sobą brykę, jadącą od strony Jasła, a na niej czterech osobników w mundurach wojskowych. Nie miałem wątpliwości, że była to bezpieka jasielska, ponieważ w tym czasie w Jasle nie kwaterował żaden oddział Ludowego Wojska.

Przesunęła mi się myśl odwrotu, lecz natychmiast ją odrzuciłem. Liczyłem na to, że między żołnierzami bezpieki nie będzie Kucharskiego, a liczyłem na to, że inni mnie nie znali.

Gdy znalazłem się kilka kroków od bryki rozpoznałem Kucharskiego. Opuzczam głowę udając, że go nie rozpoznałem i mijam jego pojazd. Jestem już kilkanaście kroków poza bryką, gdy nagle słyszę „stać!”. Odwracam głowę i dla zyskania na odległości odpowiadam — „nie mam czasu!”.

Pierwsze strzały padają, gdy byłem około 30 kroków od bezpieki. Zeskakuję z roweru i rzucając się do ucieczki przez pola w stronę pierwszych domów we wsi Wolica. Bezpieka strzela, ale na szczęście dla mnie bezskutecznie.

Dobytam rewolwer i ostrzeliwuję się. Wpadam między domy, oglądam się do tyłu i widzę, że dwóch żołnierzy bezpieki z szefem Kucharskim ściga mnie, a jeden pędzi bryką w stronę Czełuśnicy. Przypuszczam, że będzie starał się odciąć mnie od lasu Czełuśnica, jadąc bocznymi drożynami. Biegnę drogą między domami — nagle

z jednego domu odległego około 20 kroków od drogi, wybiega żołnierz sowiecki i otwiera do mnie ogień z karabinu, ale również nieskuteczny.

Wpadam między opłotki, kierując się przez pola w stronę lasu odległego od Wolicy około półtora kilometra. Bezpieka do której dołączył żołnierz sowiecki ściga mnie strzelając bezustannie. Ja natomiast tylko od czasu do czasu ostrzeliwuję się w biegu. Bezpieczniacy dbają o własne bezpieczeństwo i padają na ziemię, gdy ja strzelam. Dzięki ich ostrożności, oraz temu, że biegi średnio-dystansowe były moją specjalnością — dystans między mną a ścigającymi się zwiększa. Czuję jednak zmęczenie w nogach, przeskakując jakiś rów z wodą, padam, ale natychmiast podrywam się, biegnę dalej i wkrótce wpadam do lasu. Oglądam się i stwierdzam, że bezpieka znajduje się około 200 kroków od lasu.

Największe niebezpieczeństwo minęło. Jestem w objęciach sprzymierzonego z nami lasu. Chciałoby się powiedzieć za Mickiewiczem „... o ileż wam winienem o domowe drzewa!”.

Spokojnym biegiem i szybkim krokiem na przemian zapuszczam się w las, układając plan oderwania się od ścigających. Nie mogę zbyt daleko zapuszczać się w lasy w kierunku południowym bo po pierwsze mógłbym znaleźć się na terenie zaminowanym, gdyż tam przebiegała linia frontu sowiecko-niemieckiego na przełomie 1944-1945 roku, po drugie spodziewałem się, że Kucharski ściągnie pomoc i na te lasy zostanie skierowana oblawa.

Wobec tego postanowiłem niespostrzeżenie przerzucić się z lasów Czeluśnica na zachód — do lasów w rejonie miasteczka Dębowiec. Aby to zrobić muszę przejść przez pola, przekroczyć szosę Jasło-Żmigród oraz rzekę Wisłokę i znowu otwartymi polami obejść Dębowiec od północy, aby osiągnąć las dębowiecki.

Maszeruję w kierunku południowym wzdłuż skraju lasu, poszukując wgłębienia terenowego biegnącego w kierunku zachodnim. Po półgodzinnym marszu znajduję odpowiednią dolinę, którą wykorzystuję dla podejścia do szosy.

Przeskakuję szosę i szybkim krokiem osiągam rzekę Wisłokę, którą przekraczam w bród. Kąpiel w rzece w dzień marcowy orzeźwia mnie, ale bardzo nieprzyjemne jest to, że w mokrym ubraniu muszę kontynuować moją wędrówkę. Maszeruję przez pola, obchodząc Dębowiec od strony północnej i osiągam las dębowiecki około 4.00 po południu.

Decyduję się pozostać w lasach do wieczora i dopiero po zmroku podejść do Dębowca do domu rodziny Wiśniewskich. Kilka godzin muszę więc przebywać w lesie w przemoczonym ubraniu. Rozgrzewam się więc chodząc bezcelowo po lesie.

Po zmroku na przełaj, podchodzę do Dębowca tak, aby jak najmniej iść ulicami dla osiągnięcia meliny. Wkrótce jestem już w domu miłych gospodarzy. Ciepłe mieszkanie i gorący posiłek to rozkosz po tak urozmaiconym dniu. Jednak przeprawa przez rzekę i kilkugodzinna włóczęga w przemoczonym ubraniu zrobiła swoje.

Musiałem pozostać w łóżku trzy dni z powodu przeziębienia. Kucharskiego spotkało rozczarowanie. „Lis” wymknął mu się i ślady po nim znowu zaginęły. Wymknęła się okazja, by zdobyć sławę pogromcy „bandytów akowskich”, by jeszcze więcej przypodobać się „czerwonym władzom”. Musiał się zadowolić rowerem i małym, kiepskowym aparatem radiowym, który pochodził ze zrzutów powietrznych.

Dotychczas nie mogę sobie wytłumaczyć jak to się stało, że wyszedłem cało z tego spotkania. Nie wiem czy było to szczęście po mojej stronie, czy nieudolność i tchórzostwo PRL-owskiej bezpieki pod wodzą ppor. z chęci szczerej „Jawora” Kucharskiego.

Początkowo gotów byłem przyjąć wytłumaczenie, że ubowcy nie przestali jeszcze czuć się Polakami i strzelali tak, aby mnie nie trafić. Wytłumaczenie to odpadło, gdy po pewnym czasie dowiedziałem się, że Kucharki po wezwaniu mnie do zatrzymania krzyknął do swoich podwładnych: „Banderowiec — strzelać!”.

Nie ma więc wątpliwości, że Kucharski pragnął, aby ogień był skuteczny. Chciał, aby żołnierze byli przekonani, że strzelają nie do Polaka lecz do Ukraińca — banderowca.

Według późniejszych informacji jakie otrzymałem, wyjaśniło się dlaczego pierwszy strzał żołnierza sowieckiego był chybiony. Gdy oddawał on pierwszy strzał, dziewczyna z domu, z którego wyskoczył, podbiła mu karabin do góry.

Moja „zabawa w chowanego” z ubowcami na terenie od Sanoka do Krakowa skończyła się dopiero w końcu 1946 roku, gdy przez Czechosłowację, Niemcy Zachodnie i Austrię dołączyłem do 2 Korpusu polskiego we Włoszech.

Józef Modrzejewski

2.5. Moje spotkanie z płk. Janem Ziętarskim „Mieczysławem”

... Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą pracę swą i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa Polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą... W działaniu tym każdy z Was musi być dla siebie dowódcą (19.01.1945 r.).

Rozkaz o rozwiązaniu AK gen. Okulickiego „Niedźwiadka” był dla nas jednoznaczny. Oddziały bojowe AK w tym ze szczególną zaciekłością prześladowana dywersja, nie mogą tak sobie rozejść się do domów i schować broń. Zmienił się cel uderzenia i niejednym oddziałom wywieziono już dowódców do sowieckich łagrów.

Minał czas bitew z regularną armią okupanta, nadszedł czas bronięcia swoich kolegów przed wywożeniem do łagrów, lub wykonaniem na nich kary śmierci.

W okresie koncentracji sił Korpusu Kieleckiego AK szykującego się na pomoc Powstaniu Warszawskiemu liczy on 7500 żołnierzy, w tym zgrupowanie „Jodla” miało pod bronią 6300 ludzi! Dowódcą kieleckiego Korpusu AK był płk Jan Ziętarski „Mieczysław”, a szefem sztabu i zastępcą jego jako komendanta Okręgu „Jodla”, był mjr (ppłk) dypl. „Wojan” Wojciech Borzobochaty. Innych dowódców zgrupowań podaje Jerzy Ślaski w swoim opracowaniu: Polska Walcząca, na str. 626 i 627. 23 sierpnia „Mieczysław” przerwał marsz na Warszawę. Słyszałem od naocznych świadków, że przecinające szosę, zabezpieczoną z dwóch stron, kolumny idące na pomoc Warszawie szły bez przerwy dwa dni.

Na trzy dni przed rozwiązaniem 21 sierpnia, w odwecie za przegraną 16 sierpnia bitwę z I batalionem 25 pp AK (1 kompania pod dowództwem por. „Bończy” rozniosła

40 żandarmów wracających z pod Skotnik). Niemcy ruszali na pacyfikację. Zatrzymała ich część batalionu — około 300 żołnierzy pod dowództwem zastępcy mjr. „Romana” por. „Morus” Hilary Moraczewski. Walka była zacięta, dopiero włączenie się do boju oddziału „Burza” przychyliło szalę zwycięstwa. Niemcy zostawili na pobojowisku 66 poległych i około 100 rannych. Było to pod Diabłą Górą. Bitwą zwano też bojem pod Klewem-Sulborowicami.

Ziemia kielecka ma tylu sławnych dowódców, że słusznie została nazwana bastionem Polski Walczącej. „Hubal”, „Nurt”, „Ponury”, „Szary”, „Barabas” i inni uczynili z kieleckich lasów i przysiółków pierwszą linię frontu walki o wolną Polskę. Są to słowa Jerzego Ślaskiego, do którego stronic, jak i Cezarego Chlebowskiego odsyłam.

Ze wschodu nadciągało nowe, groźniejsze niebezpieczeństwo. Powtórne uderzenie nożem w plecy. 17 września 1939 roku otrzymała je Armia Polska, teraz uderzenie skierowane jest w walczącą z Niemcami Armię Krajową. Nie mogą co prawda „przyjaciele” powtórzyć już zbiorowych grobów w Katyniu, Czarnobielsku i Ostaszkowie, ale mogą teraz rozsypać mogiły po całej Polsce. Zachęceni bezkarnością, tolerancją zachodnich aliantów, pozwalają sobie na odmowę wydzielenia kawałka zrabowanej polskiej ziemi na lądowiska dla samolotów niosących pomoc płonącej Warszawie.

Jednym z pierwszych nie ukrywanych już aktów wrogości wobec AK było rozbijanie oddziałów po Akcji „Ostra Brama”. Słuchałem relacji uczestnika oswobodzenia Wilna przez partyzantów ppłk. gen. Aleksandra Krzyżanowskiego — „Wilka”, który wierzył, że przy boku Armii Radzieckiej będą nadal walczyć z Niemcami. Niestety, 15 lipca Armia Czerwona zamknęła Wilno przed odpoczywającymi po bitwie oddziałami AK.

17 lipca gen. „Wilk” został „zaproszony” do mieszczącej się w Wilnie przy ul. Kościuszki 16, kwatery dowodzącego 3 Frontem Białoruskim gen. Iwana Czerniachowskiego. Udał się tam zdobyczym samochodem wraz ze swoim oficerem operacyjnym — cichociemnym mjr. dypl. „Sławem” Teodorem Cetysem. „Wilk” był przekonany, że będą omawiali wspólne operacje przeciw Niemcom. Ale gen. Czerniachowski tematu nie podjął. Obydwaj Polacy zostali rozbrojeni i aresztowani. Podaje te fakty wg A. Ślaskiego „Polska Walcząca” str. 960, 961. Dalsze losy gen. „Wilka” opisane na tej samej stronie dosyć skrótowo: Po zakończeniu operacji „Ostra Brama” przebywał w Wilnie, a w końcu 1945 roku wyjechał do centralnej Polski. Na krótko wyjechał do Paryża. Później wrócił do kraju. W 1948 roku zostaje aresztowany, skazany na karę śmierci i stracony w podziemiach więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie w lutym 1951 roku.

Wróćmy jeszcze do 17 lipca 1944 roku. W kilka godzin później do kwatery gen. Czerniachowskiego, również na jego zaproszenie przybyli ppłk Lubosław Krzeszowski i ppłk dypl. Adam Szydłowski, którzy podzielili los swego dowódcy, bo przyjęli też to zaproszenie. W tym samym dniu do miejscowości Bogusze położonej w odległości 25 km od Wilna, przybyła w godzinach popołudniowych grupa oficerów liniowych AK na zarządzoną przez „Wilka” odprawę, którą zwołał poprzedniego dnia na prośbę gen. Czerniachowskiego w celu zaprezentowania ich d-cy frontu. Czerniachowski na odprawę nie przyjechał, do Bogusza zjawiała się przywieziona samochodami ciężarowymi kompania żołnierzy radzieckich, a wraz z nią kilka wyższych oficerów NKWD. Oficerowie AK

zostali rozbrojeni i aresztowani. Uwięziono wówczas 21 oficerów 4 podoficerów i kilkunastu szeregowych, którzy przypadkiem tam się znaleźli. Kilku uciekło. Tak podaje A. Ślaski.

Teraz — co przeżył mój rozmówca: Staliśmy pod Wilnem, oficerowie zostali wezwani na odprawę do Wilna. nie mieliśmy żadnych wiadomości. Nasz dowódca pozostawił swego zastępcę, który rozkazał jednemu z kolegów sprawdzić co się dzieje w Wilnie. Ten wskoczył na konia i pognął w kierunku miasta. Za małą chwilę wrócił: — Jesteśmy otoczeni przez radzieckie czołgi! Lufy mają skierowane na nas!

Po paru godzinach do naszego obozu przyjechali oficerowie radzieccy i kazali przygotować się nam do złożenia broni. Będziemy grupami wcieleni do Wojska Polskiego i dostaniemy nową broń. Nie podobala się nam taka propozycja, chcieliśmy w naszych, leśnych kompaniach walczyć dalej z Niemcami. Zrobił się ruch. Jeden z podoficerów nie chciał się na to zgodzić, znał już niedotrzymane obietniczki. Ranni i chorzy niestety muszą zostać, kto myśli tak jak ja może iść za mną. Byłem zdrowy i cały. Opuściliśmy nasz oddział i nocą przedarliśmy się przez pierścień okrażeń. Za parę dni dotarliśmy do 5-tej Brygady Śmierci mjr „Łupaszki” i z nim zostaliśmy.

Opisuję to dlatego, bo trudno zrozumieć jak bezkrytycznie wierzono w „czesne słowo” radzieckich wyższych oficerów. Tak wierzył im „Wilk”, potem zawierzył im „Nil” — pierwszy szef Kedywu, Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej generał August Emil Fieldorf. Sam przyszedł do nich po „karę” śmierci, którą wykonano w więzieniu na Mokotowie 24 lutego 1953 roku. Wyrok z art. 1 pkt 1 dekretu z 31 sierpnia 1944 roku (o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy i zdrajców Narodu Polskiego). Odsyłam do opracowania Stanisława Marata i Jacka Snopkiewicza w broszurce pt. „Zbrodnia — Sprawa generała Fieldorfa — „Nila””.

Przecież wszyscy sądzeni w Moskwie na „Procesie Szesnastu” zgłosili się sami na „Naradę z radzieckim dowództwem. Okulicki, Jankowski i Jasiukiewicz nie przeżyli tej „gościnności”. Kazimierz Pużak z PPS-u aresztowany ponownie nie przeżył wyroku w Rawiczu.

Po wielu latach uwierzyli w takie „słowo” przywódcy Węgierskiego Powstania i dobrowolnie opuścili ambasadę jugosłowiańską. Też zapłacili to swoim życiem. W czasie rozmów z generałem, który dał im gwarancję, wszedł na salę prosty kapitan NKWD i zabrał ich do więzienia. Potem za granicą kraju czekał ich sąd i wykonane kary śmierci.

Można by przytoczyć wiele przykładów naiwności Polaków okazywanej w rozgrywkach politycznych ze wschodnim sąsiadem. Myślę, że to leży już w duszy słowiańskiej. Powie ktoś, przecież rosyjska dusza to też słowiańska. Tak, dlatego Stalinowi udawało się wytepić współtowarzyszy z okresu rewolucji i wygłodzić około siedmiu milionów ukraińskich chłopów przy zakładaniu kolchozów. W każdym społeczeństwie znajdują się oprawcy, dlatego Hitler i Stalin na nich oparli swoje ludobójcze plany. Szefa GPU Jagodę kazał zgładzić, bo on nie wykonał rocznego planu likwidowania wrogów rewolucji. Dlatego na procesach prokuratora Wyszyńskiego wszyscy przyznawali się do winy.

Na procesie Bucharina, jeden z 21 oskarżonych Kriestinski nie przyznaje się do winy, był to były sekretarz generalny partii i członek Biura Politycznego do niedawna

zastępca komisarza do spraw zagranicznych. Ten drobny, źle wyglądający mężczyzna w okularach w metalowej oprawie zaprzeczył wszystkiemu, on nigdy nie był trockistą! Do zeznań był zmuszony i nigdy nie pracował dla niemieckiego wywiadu! Prokurator Wyszyński jak i sędziowie byli wyraźnie skonsternowani, Kriestinski wytrwał do końca posiedzenia. Gdy jednak następnego dnia wprowadzono go na salę, wyglądał na jeszcze bardziej wymęczonego, ale był za to bardziej uległy. Podczas przesłuchania potwierdził swe poprzednie zeznania oraz przyjął pełną odpowiedzialność za swe zbrodnicze występy. Poprzedniej nocy najwyraźniej nie zmarnowano (według relacji naocznego świadka procesu Fitzroy Maclena — Sunday Telegraph — 20 marca 1988 roku).

Tyle dygresji, powróćmy do lat zaraz po II wojnie, do lat 1945-tych — lat masowych aresztowań i pełnych więzień z akowcami, których tam wsadzono w nagrodę za trud walki z okupantem hitlerowskim. Brano nas na odpoczynek, niektórych nawet na wieczny.

Oddziały przechodzą do akcji rozbicia więzień i uwalniania współuczestników walki z okupantem hitlerowskim. W nocy z 4 na 5 sierpnia 1945 roku silna grupa AK, licząca blisko 250 ludzi, pod dowództwem kpt. „Szarego” wjechała do Kielc i uderzyła w więzienie. Uwolniono około 700 więźniów, którym groziło wywiezienie w głąb Rosji, akcja trwała ponad 4 godziny. Dokładnie w rok później, 18 sierpnia 1946 roku, krakowska grupa „Ognia” — Józefa Kurasia opanowała więzienie św. Michała, przy ul. Senackiej i uwalnia 62 więźniów.

Nas interesuje akcja w Kielcach. Tak ją opisał sam „Szary” Antoni Heda we wspomnieniach Prawdziwych Polskich Dróg (17) Wokanda 8 kwietnia 1990 roku.

... Zarządziłem koncentrację żołnierzy na placówkach w powiatach. Powiadomieni zostali obecni dowódcy kompanii, plutonów i grup. Najwięcej żołnierzy było z okolic Skarżyska, sporo ze Starachowickiego i Radomskiego, miały być grupy z Końskich i Kieleckiego, ale nie dotarły na czas. Niektórzy dojeżdżali z daleka. Eugeniusz Fitas „Krater” z Wrocławskiego zameldował się w Skarżysku u „Mściciela” — Wiesława Jankowskiego. Tadeusz Ciuk „Trzask” z Blizna k. Skarżyska wykopał stena z ogródka i przyszedł na zbiórkę z Józefem Zbroją „Lewym”.

Miejscem koncentracji była wieś Kruk (na południe od Skarżyska i Baraniej Góry). Do moich oddziałów dołączyły grupy por. Stefana Bembińskiego „Harnasia” i por. Henryka Podkowińskiego „Ostrołota” w sile 80 i 30 ludzi. Uzgodniliśmy z inspektorem radomskim AK mjr. Żywockim „Wujkiem”, że będziemy rozbijać więzienia w Radomiu i Kielcach. W pierwszej kolejności Kielce.

Dzień przed zamierzoną akcją upozorowaliśmy uderzenie na miasteczko Szydłowiec koło Radomia, odległe od Kielc o 50 km. Do rana trwała pozorowana próba opanowania miasteczka. W pobliskich lasach rozkładaliśmy miny, które kolejno wybuchwały przez cały dzień. Do tego zadania wyznaczyłem „Niegolewskiego”. Tym sposobem zmusiliśmy wojskowy garnizon stacjonujący w Kielcach do opuszczenia miasta. Pociągnęli na oblławę. — Zainteresowanych dalszym opisem akcji, odsyłam do wspomnień samego dowódcy „Szarego” Antoniego Hedy. Od siebie dodam tylko, że wszyscy żołnierze biorący czynny udział w tej akcji, otrzymali stopień wyżej i Krzyże Walecznych. Ośmiu dowódców: „Sęk”, „Harnaś”, „Ostrołot”, „Zygmunt”, „Szparag”, „Orkan”, „Niegolewski” i jedna kobieta, sierżant Józefa Borgowska „Barbara”, otrzymało

Krzyże Virtuti Militari V klasy. Zatwierdzał to były dowódca Korpusu Radomsko-Kieleckiego AK płk Jan Ziętarski „Mieczysław”.

„Szary” spotkał się z „Mieczysławem” w Warszawie. Tak o tym napisał: „... Teraz płk „Mieczysław” domagał się ode mnie zorganizowania akcji o wiele poważniejszej, dotyczącej więzienia znajdującego się w samym sercu miasta polskiego, najbardziej strzeżonego. Rozbicie tego więzienia (na Mokotowie) leżało nam bardzo na sercu, bo przecież siedziało tam wielu akowców, także z naszego okręgu m.in. były szef sztabu ppłk Wojciech Borzobochaty „Wojan” (siedział z nim w jednej celi, parę miesięcy później mój kolega z naszej sprawy skierniewisko-lódzkiej „Saba” Henryk Szymczak). ... Po rozmowie z „Mieczysławem” pojechałem do Kielc zorientować się w sytuacji. Dowiedziałem się, że nasi żołnierze, mimo uszczuplenia i to poważnego ich szeregów — są gotowi do akcji i mogę na nich liczyć. Wracając przez Warszawę, ustaliłem z płk. „Mieczysławem”, że dostarczy mi on plan więzienia na Rakowieckiej. Okazało się, że plan był już na miejscu. Niestety — szkicowy i mało dokładny, poprosilem o bardziej szczegółowy.

Do tej akcji nie doszło, natomiast pod koniec marca 1947 roku we wspólnej celi rozmawiałem z „Mieczysławem”. Byliśmy już po naszych procesach, a przed nami wieloletnie lata więzienne.

Jak już wspomniałem metody śledztwa były różne, podstawowe bicie było urozmaicane różnymi szykanami. Oczekujących na duże wyroki wsadzano do celi, gdzie już siedział skazany na karę śmierci. Mieli oni skruszeć, aby byli słabsi, mniej oporni na przesłuchaniach. Skazani na śmierć siedzieli z tzw. Gromnicą, całą noc w takiej celi paliło się światło, żeby skazaniec nie popełnił samobójstwa. Wyrok musiał być wykonany! Odporność psychiczna była czasem ważniejsza od fizycznej, z bólu można zemdleć, przed koszmarami w załamaniu się, nie było ucieczki.

Okres przed styczniem 1947 r. był na Mokotowie bardzo napięty. Szykowali z Nowym Rokiem amnestię, więc musieli jak najszybciej pozbyć się skazanych i potencjalnych posiadaczy kary śmierci już załatwionych. Co wieczór od godziny 22.00 do 23.00 wyprowadzano na śmierć. Nie mieli jeszcze przygotowanych w piwnicach cel na egzekucje, strzelali w tył głowy za pawilonem X koło szpitala. W jeden wieczór potrafili po pięć do siedmiu razy wyprowadzać skazańców. Po tylu latach trudno sobie tę liczbę dokładnie przypomnieć.

Dlaczego to wiem? Otóż mój śledczy upodobał sobie taką zabawę w egzekucje na mojej osobie. Dokładnie w tych godzinach kazał przyprowadzać mnie z czwartego piętra (z jedenastki) do swojej celi śledczej na drugim piętrze i z upodobaniem przyglądał się oparty o poręcz galeryjki wyprowadzanemu na śmierć. Drzwi od celi zostawiał na oścież otwarte, abym i ja to wszystko słyszał. Gdy zamykały się na dole kraty i skazańca wyprowadzili na zewnątrz, wracał do mnie. Dokładnie znałem czas dojścia do miejsca stracenia, gdy zęgnąłem się aby rozpocząć modlitwę za dusze skazańca, padały strzały. Potem od nowa, znów otwierały się kraty i mój „śledź” rozkazywał: — no, wstawajcie! Teraz już na pewno idą po was! — Tak bez sądu? — pytałem się z uśmiechem chociaż nogi mi dygotały, bo z nimi nic i nigdy nie było wiadomo.

— Tak. Podpisałeś decyzję prokuratora, że odsuwają cię od głównej sprawy i możemy robić z tobą co chcemy!

Wtedy zrozumiałem, że kłamię i to jest nowa odmiana śledztwa. Zaczęli już tę metodę w piwnicach MBP na Koszykowej, a tu jest dalszy ciąg. Trwało to już trzeci tydzień. Jednego wieczora, gdy już ostatniego wyprowadzali z celi, podniosłem się z krzesła i ruszyłem w kierunku otwartych drzwi...

— Stój! Gdzie idziesz? — zawołał mój opiekun mocno wystraszony.

— Zawołać aby poczekali i zabrali mnie z sobą — odparłem jak mogłem spokojnie, chociaż cały trząsałem się ze strachu.

Wtedy usłyszałem największą pochwałę. — Aleś twardy sku...synu!

— Od mojej matki niech się pan odczepi, była robotnicą, obraża pan klasę, która teraz podobno rządzi, a co do mnie to nie możecie zrozumieć, że ze względów religijnych nie popełniłem samobójstwa przed aresztowaniem, bo tę brudną robotę zostawiłem wam!

Było to moje ostatnie wyprowadzenie na te straszne chwile.

W tym czasie w jednej celi z „gromnicą” siedziało trzech więźniów: Pierwszego nazwiska już po tylu latach nie pamiętam, drugim był płk Jan Ziętarski „Mieczysław” i trzeci, oczekujący już na wykonanie wyroku trzykrotnej kary śmierci i podsumowanych siedemdziesięciu pięciu lat więzienia, mój serdeczny przyjaciel, żołnierz Oddziału Sabotażowo-Dyweryyjnego AK Obwodu „Sroka” — Skierniewice, Wiesław Płoński „Wilczek”.

O śledztwie „Wilczka” mówi sam Fejgin na str. 95 Henryk Piecuch „Spotkania z Fejginem” Nakład „Story” Spółka z o.o. Wydawnictwo Ludowe: „... Otóż odwiedziłem kiedyś Jacka Różańskiego w jego gabinecie. Miał pięknie urządzone biuro. Wchodzę i co widzę? Na olbrzymim biurku, nota bene należącym kiedyś do marszałka Piłsudskiego, siedzi Jacek, przed nim ustawieni w krąg stoją najbliżsi jego współpracownicy, a w środku jak piłka odbija się nieznany mi mężczyzna. Był puszczony w krąg, każdy z funkcjonariuszy Jacka przykładał mu kuksańca, a Różański, każdorazowo, gdy tamten przelatywał obok biurka, kopał go w miejsca szczególnie uczulone... Jacek! Jak możesz! — powiedziałem z oburzeniem. To jest właśnie zabójca posła — wyjaśnił Różański, mitygując się. Zacerwienił się chyba nawet. Krępował się przy mnie swojej brutalności, mimo że wiedziałem o jego ciemnych sprawach. O tym co było jego największą tajemnicą, że wymordował własnoręcznie wielu więźniów z więzienia we Lwowie, w czasie wycofywania się Armii Radzieckiej, a przed wkroczeniem Niemców, nie ma co ukrywać Różański był wielkim sadystą”.

W innej celi obok, na śmierć oczekiwał drugi skazany — Bolesław Panek „Gryf”. Główny sprawca, który sam zlikwidował agenta, już nie żył. Był to Władysław Baran „Lord”. Zginął parę miesięcy temu we wsi Białynin. Ja osobiście, mając do pomocy dwóch kolegów, odbiłem go z rąk milicji i odesłałem do skierniewickiego szpitala, ale po drodze zmarł. Ten zasłużony żołnierz naszego oddziału, brak udział 21.VII.1944 roku, jako jeden z trzech w likwidowaniu specjalisty niemieckiego od rakiet V-2, inż. Schnaidera, pod wsią Mokra-Prawa.

Był to drugi przypadek, gdzie poza terenem kieleckim akowcy dorwali się do V-2. Takim to żołnierzom zawdzięczają Anglicy, że im na głowy rakiety spadały o parę miesięcy później niż planowano.

Jak się domyślam, w jeden taki opisywany wieczór otworzono celę „Wilczka”. Weszli oprawcy: Wiesław Płoński, ubierajcie się, zabieramy was na inny pawilon!

— O tej porze przenosiny? Nie musicie już kłamać, wiem gdzie prowadzicie”. Był zupełnie spokojny. Serdecznie go żegnali koledzy z celi, bardzo długo przytulał do piersi i całował „Mieczysława”. Gdy zamknęły się za nim drzwi i usłyszeliśmy strzały, uklękliśmy na kolana i jako pierwsi modliliśmy się za „Wilczka”. Obserwowali to też ze szpitala więziennego, opowiadał to Andrzej Potocki — Długo trzymał się na nogach, wołał: Mamo! Mamo! to były jego ostatnie słowa. Dostał siedem kul. Wiadomo, że tak celnie strzelali... Skazany miał aż trzy kary śmierci. Za chwilę przyszli do Panka „Gryfa”, z nim było gorzej. Schował się pod koc i wołał: Chcę się zobaczyć z panem Radkiewiczem! On dał mi słowo honoru, że będziemy żyli, tylko musimy nie przeszkadzać w procesie.

Gdy opowiadał mi to świadek ostatnich chwil „Gryfa” zrozumiałem, dlaczego tak szybko odsunęli mnie od głównego procesu. Zapytałem się, czy będą zagraniczni dziennikarze, bo mam do tej sprawy wiele pytań, które zadam sądowi. Wtedy śledczy wybiegł z pokoju i zaraz przyniósł mi do podpisania decyzję odsunięcia od głównego procesu. Ponadto wiedzieli, że miałem spotkanie z Ryśkiem Skorupką, oficerem „Ognia” i czekali co przyjdzie na mnie z Zakopanego. W dwanaście dni po opanowaniu więzienia św. Michała w Krakowie, 30 sierpnia 1946 roku aresztowali mnie w Zakopanem. Potem wieźli mnie przez Nowy Targ, Kraków, gdzie byłem tylko jedną noc w Wojewódzkim UB i rano samolotem pasażerskim na Okęcie, a dalej więźniarką do MBP na Koszykową.

Pod koniec marca, po moim wyroku (z dnia 13 marca 1947 roku) zostałem przeniesiony na inny pawilon do celi ogólnej na pierwszym piętrze. Natychmiast zacząłem szukać siedzących z „Wilczkiem” i „Gryfem”. Cella na 21 miejsc była przeładowana, było tam 87-miu więźniów. W pierwszym dniu stanąłem przed „Mieczysławem” płk. Janem Ziętarskim. Był dobrze zbudowanym mężczyzną mającym trudności w podnoszeniu prawej (może lewej, pamięć już zawodzi) ręki. Miał jeszcze z czasów legionowych pamiątkę po trafieniu go w pierś na wysokości obojczyka. Przyglądając mu się dokładnie zapytałem:

— Czy pan siedział z Wiesiem Płońskim?

— Tak. A kto się pyta?

— Jestem „Juhas”, słyszał pan od Wiesia o mnie?

— Naturalnie. Pan żyje, a tak się martwił, że za tę dezercję z wojska, panu nie darują!

Przywitaliśmy się bardzo serdecznie.

— Wiesio też mógłby żyć, tylko trzeba uważać co się im odpowiada.

— Tak, ale musiałyby mieć pańską głowę.

Była to druga dla mnie pochwała w więzieniu. Ale prawda jest taka, że za dużo mówił jeszcze przed aresztowaniem i to „Gryfowi”. Nie powinien opowiadać o swoim spotkaniu z patrolem koło Dworca Fabrycznego.

Drugą prawdą było to, że Wiesiowi w czasie przesłuchań przyprowadzano żonę Werę, która albo ze spazmami rzucała mu się na szyję, albo grozili mu, że zrobią jej krzywdę. Jak pan widzi, to nie zasługa mojej głowy, a szczęśliwy zbieg okoliczności, ja

jestem kawalerem. Naprawdę polubił mnie „Mieczysław”, może ze względu na świeżą pamięć o „Wilczku” i o tym co o mnie opowiadał, może to było umiłowanie młodych żołnierzy. „Wilczek” miał dopiero dwadzieścia dwa lata, był z 1924 roku, ja jestem z ostatniego sierpnia 1925 roku. Przyszli po mnie na dzień przed ukończeniem dwudziestu jeden lat. Wróciłem w dniu ukończenia 25 lat.

W celi nie pytano się kolegów za jakie detale siedzą. To nie tylko było nietaktowne, ale wręcz prowokacyjne. Tak zachowywali się kapusie, których było jak wszy na psie. Nie wiele wiedziałem o „Mieczysławie” i nie interesowała mnie jego konspiracyjna działalność. Mówiono tylko, że był pierwszym, który wrócił z Węgier do Polski. Podobno ciągnęli losy kto jedzie do Francji, a kto wraca zakładać konspirację w kraju. Wyciągnął powrót i już w pierwszą wojenną zimę wracał przez Dolinę Chocholowską, a potem dopiero tą samą drogą wracał marszałek Śmigły-Rydz.

Zaraz po pierwszej naszej rozmowie zapowiadano wizytację na celi zastępcy naczelnika ds. pol.-wych. Opowiedziałem pułkownikowi, że na X pawilonie miałem z nim poważne starcie, nie chciałem się jego słuchać. Groził mi, że dopadnie mnie na celi ogólnej. Zapewne każe mi skakać żabką. Polecę jak poprzednio do karca, ale nie będę skakał.

— Będiesz tu skakał „Juhas”, będziesz, a wiesz dlaczego? Tam odpowiadałeś za swoje czyny sam, a tu popatrz co będą czuli do ciebie koledzy z celi, jest nas ponad osiemdziesięciu, a jak za to ukarze całą celę i pozbawi wszystkich palenia papierosów? Jak ciebie tu przywitają jak będziesz wracał z karca.

— Zrozumiałem, dziękuję za ostrzeżenie. Będę skakał jak się będzie upierał.

Za parę dni zastępca naczelnika był na inspekcji. Miał ze sobą kilku mundurowych. W jednym z nich rozpoznałem znajomego sanitariusza ze Skierniewic. Patrzyłem na zastępcę naczelnika. Szybko mnie odszukał, podszedł do mnie i powiedział:

— O, my się znamy!

— Tak jest i przypuszczam, że bardzo dobrze!

Długo patrzyłem mu w oczy. Rozejrzał się po celi. Zawrócił sam na pięcie i wyszedł. „Mieczysław” stał obok mnie.

— Co między wami było?

— Na XI wywłókł mnie z celi i zamknął na parterze — może to była już piwnica — pod schodami. Brodziło się tam w kale, szczury były jak koty. Gdy za dwie godziny podawali obiad, przekroczyłem kocioł i pobiegłem na moje piętro. Niestety krata była zamknięta, dopadł mnie biegnący za mną strażnik. On jeszcze laził po celach, wyszedł do nas i złapał mnie za gardło. Złapałem go oburącz za jeden jego nadgarstek i po zapytaniu się — Wolno bić? — chciałem go zwalić po schodach.

Widocznie tu też bał się, że go skompromitujesz i to przy wielu świadkach. Nie wiedział kogo poprać więźniowie. Tak to ocenił „Mścisław”.

Na środku celi stał duży stół z ławami, mały stolik zaraz po lewej stronie drzwi, które do połowy były z grubej blachy, a do góry miały kratę. Na ścianach było przytwierdzonych dołem i zamykanych w pionie 21 łózek. Przy małym stoliku siadali starsi wiekiem więźniowie i zawsze do nich przysiadła się kapuś. W tym czasie był to fryzjer — „stopkarz” i starszy celi w jednej osobie.

Kiedys w tej celi urządzano teatr, postanowiliśmy go reaktywować. Udało nam się to przez trzy niedziele. Program układaliśmy przez cały tydzień chodząc wokół dużego stołu. Prowadziliśmy tę rozrywkę w trójkę: Tomasz Wolfram „Grabowski”, ja i Roman Rewerenda, który — zanim tu przyjechał z Chałubińskiego z Informacji — przesiedział tam trzy doby w celu piwnicznej, gdzie wykonywano kary śmierci, potem we Wronkach został fryzjerem i uważano go za kapusia.

Od łóżek po lewej stronie drzwi podnosiliśmy oparcia i zawieszaliśmy koce. Za nimi mieliśmy swoje „zakulisy”. W naszym chórze śpiewali członkowie NSZ-tu, pamiętam nazwisko jednego, nazywał się Mięso. Zresztą sam Tomasz był ze sztabu tej organizacji i 6 grudnia 1946 roku z pięcioma innymi został skazany na śmierć i dopiero o zamianie wyroku na 15 lat dowiedział się w 1947 roku (odsyłam do jego wspomnień: Zakopać broń). Ławki ustawiano przed nami, a my staraliśmy się dać współwięzniom chwilę zapomnienia o własnym losie. Niczym obecnie są największe brawa przy pełnej sali, w porównaniu do radości jaką odczuwaliśmy, widząc radość w oczach tych, których przed paru tygodniami chciano rozstrzelać. Oglądał nas m.in. cichociemny mjr Witold Edward Ukraiński „Herold” zrzucony do kraju 26/27.XII.1944 roku. W 1945 roku przebywał w Wielkiej Brytanii, już 24.XI.1945 roku wrócił do kraju jako Witold Sawicki, emisariusz WiN. Został aresztowany zaraz na drugi dzień. Nie pisał o ulaskawienie chociaż go wielokrotnie namawiali.

— Piszcie do prezydenta on was ulaskawi!

— To niemożliwe, nie dojdzie list do niego!

— Dojdzie już na drugi dzień do prezydenta Bieruta.

— Acha o tym myślicie. Zapamiętajcie sobie, że mój prezydent mieszka w Londynie! Wynosicie się z mojej celi!

— Ależ co robicie, jesteście jeszcze młodzi! Zostawiamy wam kartkę i ołówek na stole. Namyślcie się jeszcze!

Napisał: Panie Bierut. Rozkażcie swoim służbom uszanować spokój skazańca, a jeżeli ma pan jeszcze resztki sumienia, to każ im za moje zabrane mi dolary kupić parę paczek Cameli i niech przyniosą to do celi.

Pamiętał o nim jednak płk Rzepecki. Wypuszczanemu na wolność płk. Rzepeckiemu obiecali zamienić karę śmierci na tzw. „koło” bezterminowe pozbawienie wolności. Nie przeżył, zmarł 3.V.1954 roku we Wronkach. (Jeszcze w 1948 roku przekazał mi przez swoich kalefaktorów 50 sztuk witamin. O jego śmierci dowiedziałem się dopiero z „Cichociemnych” Jędrzeja Tucholskiego w 1988 roku).

Gdy rozmawiałem o Rzepeckim z „Mieczysławem”, uśmiechnął się jakoś dziwnie i powiedział: Na parę tygodni przed moim aresztowaniem przekazałem mu trzydzieści pięć tysięcy dolarów w papierkach i dziewięć tysięcy w złocie, a on oddał to ubowcom! Kto to wie, może gdybym ja to zrobił, co jest absolutnie wykluczone, mnie wypuściliby na wolność. Lepiej to było wdowom po akowcach rozdać.

Oglądali nasz kabaret płk Abakanowicz — lotnik, profesor historii Sawicki z komendy Szarych Szeregów, redaktor pisma mikołajczykowskiego, jeden z moskiewskiego procesu Szesnastu Kazimierz Bagiński (tam dostał 1 rok) później bierutowskie władze wypuściły go, bo przed wojną siedział w Berezie Kartuskiej.

Oglądało nas 80 osób. Potem zakazali zabawiać burżujskich przestępców i bandytów z AK, NSZ, i WiN-u.

Raz zauważyłem, że mocno nagabuje „Mieczysława” superkapuś Grosz. Szybko podszedłem do nich. Grosz bawiący się zawsze w filozofa zadawał pytania na „gdyby”. Teraz też gdybał:

— Jeżeli przyszłoby panu wybierać pomiędzy przyjaźnią z Niemcami, a Rosją, kogo by pan wybrał?

Pulkownik starał się go pozbyć:

— Ja nie jestem od wybierania.

Grosz dalej nalegał:

— Ale do kogo by pan wyciągnął dłoń?

Jeden więzień podniósł się wtedy z podłogi, podszedł do „Mieczysława” i powiedział wprost:

— Gdzie masz swoje medale? Zabrali już? Moich nie potrafią.

Rozpiął swoją koszulę i pokazał gołe piersi, a na nich dwie długie blizny, od lewej do prawej pachy.

— Widzisz? To dostałem jak osłaniałem odwrót naszego oddziału z Prus Wschodnich, gdzie zrobiliśmy wypad za pacyfikację w Białymstoku. Gdybym stał trochę bardziej obrócony już byśmy nie rozmawiali. Zapamiętaj to sobie na całe życie. U nas na wsi najgłupsza baba wie, że jak do ruskich wyciągniesz ręce... to za parę dni będziesz musiał wyciągnąć nogi! Powiedziawszy to, usiadł na podłodze.

Pod koniec kwietnia, ci co spali przy oknie usłyszeli w nocy krzyk. Jakby wyprowadzany na śmierć wołał: Jezu! Jezu! Ja tego nie słyszałem, spałem bliżej drzwi. Byłem jednak mocno przerażony. Zaraz o moich przypuszczeniach opowiedziałem „Mieczysławowi”. Kiedy mnie straszili nocnymi wyprowadzeniami na drugie piętro, siedzieliśmy w trójkę na czwartym piętrze na pojedynce. Wmawiano mi szpiegostwo, wpuścili do mnie marynarza amerykańskiego i zaraz za nim trzeciego więźnia, który w poprzedniej celi siedział z marynarzem. Pomyślał o tym śledczy mjr Radwański, specjalista od łapania szpiegów.

Od razu zgadłem, że próbuje dowiedzieć się o czym będziemy rozmawiali. Marynarz miał udowodnione szpiegostwo, mnie posadzali o to. Byłem jedynym, którego mieli w łapach, po udowodnionym wyjeździe do Kłodzka na kontakt przerzutowy z ambasady amerykańskiej, który otrzymał „Orsza” poprzez Irenę Dmochowską pracownicę ambasady. (W Kłodzku był „Orsza” z „Lordem” i ze mną. „Lord” Władysław Baran zginął, „Orszy” nie złapali, a ja uparcie twierdziłem, że z „Lordem” zostaliśmy na dworcu, a na spotkanie poszedł sam „Orsza”). Jasne więc, że trzeci w celi kapuje. Przyparty do muru, przyznał się nam i powiedział o swoim rychłym wyjściu na wolność. Siedział pod fałszywym nazwiskiem Tadeusza Wujtowicza i faktycznie wypuścili go, jako złapanego przypadkowo w obławie we Wrocławiu. Był pierwszym, który przekazał mojemu wujkowi na Tarczyńską wiadomość gdzie jestem. Gdy laziłem na drugie piętro, on już był na wolności.

Początkowo okno z celi wychodziło na podwórko więzienne i co ranka widzieliśmy jak na wózku pod plandeką małe „Penny” jak mawiał marynarz wywoziły pod bramę do samochodu ciała zabitych poprzedniej nocy. Potem przeniesiono nas razem na

drugą stronę pawilonu, pod naszym teraz oknem prowadzono na rozstrzelanie. Wtedy marynarz, Michał Orzechowski, polskiego pochodzenia, dał mi swój adres: Detroit Lloyd Street handred twenty nine. Nie było czym tego zapisać, ale minęło już 48 lat, a ja mam to ciągle w moich uszach. Był to „Harry” III. Jednocześnie umówiliśmy się, że ten, który stanie pierwszy pod tym oknem, będzie wołał, aż mu pozostawiony w celi z góry nie odpowie: Trzymaj się! Po paru dniach od tej rozmowy, Michał poszedł na proces, otrzymał karę śmierci i nie wrócił już do mojej celi, Ja mój wyrok dostałem 13 marca i po paru dniach byłem tu.

„Mieczysław” wysłuchał mego opowiadania o „Harrym” i postanowiliśmy odszukać w naszej celi tych, których dzisiaj wiozą na procesy jako świadków. Oni mogą spotkać się z więźniami z X pawilonu i sprawdzą kogo w tę noc wyprowadzali. Potwierdziły się moje obawy. Jakiegoś marynarza — powiedzieli po powrocie — panie pułkowniku! On nie wołał Jezus! On wołał: Juhas! Juhas!... Czy pan wie panie pułkowniku, że nawet pozwolili mu na widzenie z amerykańskim ambasadorem! A on wyparł się Michała!

— Niejeden szpieg podaje się za naszego obywatela! My tu nikogo nie wysyłamy. Słyszałem to od Michała po powrocie z widzenia. Co pan myśli o tym panie pułkowniku?

— No cóż, tam grają twardo! A może to nie był ambasador, a podstawili mu kogoś mówiącego biegle po amerykańsku? Czy to takie trudne?

Po południu 26 czerwca załadowali nas na samochody, potem wsadzili do więźniarek i 27 czerwca 1947 roku byliśmy we Wronkach.

Tadeusz Maćkowiak z Oddziału Sab.-Dyw. „Sroka — Skierniewice

Tadeusz Maćkowiak („Juhas”)

III. Z REDAKCYJNEJ POCZTY

3.1. Przesyłka z USA

Wśród otrzymanych przez nas materiałów wspomnieniowych, dotyczących Akcji „Burza”, znalazła się praca nadesłana aż ze Stanów Zjednoczonych. Trafiła do nas w liście zaadresowanym do prezesa ZO Wielkopolska ŚZZAK — mjr. Stefana Ignaszaka. Nie dotarła wprawdzie w terminie przewidzianym warunkami naszego konkursu, a także nie odpowiadała wymogom formalnym, bo ujawniała nazwisko autora i była już zgłoszona do innego konkursu, gdzie została uhonorowana I nagrodą, jednak wydaje się nam celowo przedstawienie jej naszym Czytelnikom na łamach „BI” wraz z informacją o wyróżnieniu jej w konkursie zorganizowanym w 1981 roku w Szwajcarii. Informację tę przedstawiamy poniżej, natomiast wyróżnioną pracę Józefa Modrzejewskiego pod tyt. „Konfrontacja Armii Krajowej z wkraczającą Armię Czerwoną w latach 1944-1945” zamieściliśmy w rozdziale II niniejszego numeru BI.

Sądzymy, że interesujące dla naszych Czytelników mogą być losy bohatera wspomnień związane z Akcją „Burza” i okresem zakończenia II wojny światowej, zapamiętane i opowiedziane przez człowieka od wielu lat przebywającego na obczyźnie. Nie mniej interesujący jest też sam fakt, że tego rodzaju konkurs na wspomnienia akowców organizowany był gdzieś daleko w świecie, w czasie, gdy u nas był to jeszcze temat tabu.

Nagrody Funduszu Kazimierza F. Vincenza

W listopadzie 1981 roku Fundusz Kazimierza F. Vincenza, z siedzibą w Szwajcarii, rozpisał konkurs pt. „Konfrontacja Armii Krajowej z wkraczającą Armią Czerwoną w latach 1944-1945”. Ostateczny termin nadsyłania prac upłynął w październiku 1982 roku.

Ogłoszenie wyników konkursu ustalono na kwiecień 1984 roku, dla upamiętnienia imienin Kazimierza F. Vincenza, przypadających 4 marca.

Sąd konkursowy: Przewodniczący — gen. Klemens Rudnicki, członkowie: redaktor Wiesław Wohnout, Halszka Vincenz-Poniatowska, Władysława Splawska, Halina Czarnocka, Ryszard Kaczorowski, Marian Łysakowski, płk Janusz Rowiński i Krzysztof Rowiński (sekretarz), na zebraniu 28 kwietnia 1984 roku w siedzibie Studium Polski Podziemnej w Londynie (11 Leopold Rd., W9), przyznał następujące nagrody:

- I. Nagroda, 500 franków szwajcarskich, za pracę oznaczoną godłem „Jotem” — Józef Modrzejewski, Stratford, New Jersey, USA;
- II. Nagroda, 400 franków szwajcarskich, za pracę z godłem „Czarny” — śp. Józef Grzesiak, z kraju;
- III. Nagroda, 300 franków szwajcarskich czterokrotnie, za następujące prace:
 - a) Praca oznaczona godłem „Dębno” — prof. dr Jerzy Krzyżanowski z Ohio State University, Columbus, Ohio, Stany Zjednoczone;
 - b) z godłem „Zbyszek” — śp. Zbigniew Kamiński z kraju;
 - c) z godłem „1608” — dr hab. med. Bolesław Ałapin, Acton, Londyn W3;
 - d) z godłem „Sław” — autor z kraju prosi o nie ujawnianie jego nazwiska.

Wyróżniono też prace opatrzone godłami: „Eks-Brzoza” — A. Słabosz, Tende, Francja i „Głodomory” — Władysław Pokrzywa, Longueuil, Quebec, Kanada. W konkursie uczestniczyli autorzy z Europy, Izraela i obu Ameryk.

Krzysztof Rowiński

IV. INFORMACJE I KOMUNIKATY

4.1. Wykaz środowisk organizujących obsługę Mszy św.

... i wystawiających poczty sztandarowe w roku 1996 w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela w Poznaniu, przy ul. Fredry, w każdą pierwszą niedzielę miesiąca o godz. 11.00.

Lp.	Miesiąc	Dzień	Środowisko organizujące i odpowiadające	Proporcje towarzyszące w Mszy św.
1	Styczeń	7	Wierchy	Inspektorat Poznań Ostra Brama-Pałac-Wierchy
2	Luty	4	Ostra Brama	Szare Szeregi-Pomnik Ostra Brama Orleń
3	Marzec	3	Jodła	Jodła-Pałac-Syrena-Knieje
4	Kwiecień	7	Szare Szeregi	Szare Szeregi-Ostra Brama Orleń-Inspektorat Poznań
5	Maj	5	Knieje	Knieje-Jodła-Wierchy
6	Czerwiec	2	Pałac	Inspektorat Poznań-Pałac-Pomnik
7	Lipiec	7	Ostra Brama	Ostra Brama, Syrena, Orleń
8	Sierpień	4	Syrena	Syrena-Knieje-Wierchy
9	Wrzesień	1	Jodła	Inspektorat Poznań, Szare Szeregi, Jodła, Ostra Brama
10	Październik	6	Orleń-Maria	Syrena, Orleń, Pomnik
11	Listopad	3	Inspektorat Poznań	Inspektorat Poznań, Jodła, Knieje
12	Grudzień	1	Pomnik	Pałac-Pomnik, Wierchy, Szare Szeregi

Uwaga!

Do wiadomości i wykonania przez Środowiska wyżej podanej kolejności.

Odpowiedzialnym za organizację jest Środowisko organizujące, które każdorazowo ustala zakres i tematykę homilii z księdzem proboszczem — kapelanem Leonardem Polochem. W przypadku, jeżeli z uzasadnionej przyczyny wyznaczone Środowisko nie będzie mogło uczestniczyć w Mszy — wówczas winno ono we własnym zakresie uzgodnić zastępców z innym Środowiskiem.

Środowisko organizujące wyznacza odpowiednie osoby do czytania lekcji z Pisma Św.

Obowiązuje uczestnictwo wszystkich członków Związku w opaskach organizacyjnych.

Do wiadomości:

- 1 — ks. proboszcz — kapelan Leonard Poloch
- 2 — Zarząd Okręgu ŚZZAK Wielkopolska
- 3 — sztandarowi Środowisk Inspektoratu Poznań
- 4 — Biuletyn Informacyjny Okręgu

Inspektorat Poznań ŚZZAK

4.2. Informacja Komisji Socjalnej

W związku z zakończeniem kadencji Zarządu Okręgu Wielkopolska ŚZZAK w Poznaniu, Komisja Socjalna przedstawia informację o swej działalności w okresie minionej kadencji.

W ramach Zarządu Okręgu działała Komisja Socjalno-Bytowa oraz podkomisja do spraw sanatoriów, mianowana decyzją wojewody poznańskiego dr. Łęckiego, w składzie: pani Krystyna Dudzińska, p. dr Irena Reszelowa i p. Wanda Drozdowska — asystent socjalny.

Ilość otrzymanych z Zarządu Głównego ŚZZAK skierowań do sanatoriów (m.in. Inowrocławia i Kołobrzegu oraz sporadycznie do Świeradowa i Krynicy) w latach 1990-19992 wynosiła 110. Natomiast w latach 1993-1995 otrzymaliśmy z Wydziału Zdrowia (dział sanatoria) 165 skierowań, czyli łącznie w okresie kadencji 275 skierowań.

Niestety przydziały skierowań otrzymujemy nieregularnie i w coraz mniejszych ilościach, co nie sprzyja regularnemu przyznawaniu leczenia sanatoryjnego w odpowiednich terminach.

Sprawy socjalno-bytowe

Z Zarządu Głównego ŚZZAK otrzymywaliśmy okresowo od 1989 do 1991 roku pomoc materialną dla naszych członków. Od drugiej połowy 1992 roku nie dostawaliśmy już ani skierowań do sanatoriów ani dotacji pieniężnych na zapomogi. Wobec trudnej sytuacji materialnej naszych kolegów, zainicjowano akcję „Dar Serca”, w ramach której 22 osoby otrzymały pomoc materialną w łącznej kwocie 16.100.000 zł. Na akcję tę uzyskano następujące dotacje:

— z Poznańskiej Wytwórni Wyrobów Tytoniowych	10.000.000 zł
— z MTP	1.500.000 zł
— oraz ponownie z Poznańskiej Wytwórni Wyrobów Tytoniowych	10.000.000 zł

Ponadto kilku członków Zarządu Okręgu samorzutnie wpłaciło 300 tys. zł, a ze Środowiska „Jodla” wpłynęło 1.127.000 zł. Łącznie zgromadzono więc 22.927.000 zł z czego — jak podano wyżej — wykorzystano 16.100.000 zł. Na 1996 rok komisji działającej w kolejnej kadencji pozostaje do dyspozycji w kasie „Daru Serca” kwota 6.827.000 zł, czyli 627 nowych złotych.

Wypada w tym miejscu podkreślić serdeczne zaangażowanie w uzyskanie pomocy finansowej okazane przez członka Środowiska „Syrena” kol. Czesława Skorupskiego. Właśnie dzięki jego zabiegom P.W.W.T. okazała taką szczodrość, z której skorzystali członkowie AK m.in. z Gorzowa, Chodzieży, Piły i Poznania.

Lekarze

Koledzy lekarze leczą do tej pory naszych członków AK. Powoli, z powodu przejścia na emeryturę, wyłączają się z przyjmowania i leczenia chorych, nie mając własnych gabinetów, w których mogliby przyjmować pacjentów.

Szpital

Szpital Wojskowy — z uwagi na stale zmieniające się przepisy Ministerstwa Zdrowia Zarządu Szpitali Wojskowych oraz brak funduszy — przyjmuje członków AK na leczenie szpitalne tylko w wyjątkowych przypadkach.

Szpital Ortopedyczny — im. Gąsiorowskich w Poznaniu pod dyr. dr Pankowskiego i dr Perkowskiego zgodnie z danymi Przychodni Ortopedycznej przyjął od 1990 do 1995 roku 47 pacjentów, którzy podlegali często długiemu leczeniu i okresowym badaniom lekarskim. Kilku członków SZŻAK przyjęto również na leczenie szpitalne.

Szpital Miejski w Poznaniu, w którym pracuje p. dr Reszelowa — członek Komisji Socjalnej Okręgu, przyjął w 1994 roku 151 pacjentów (członków AK) oraz w 1995 roku — 57 pacjentów. Z uwagi na przejście na emeryturę i brak gabinetu lekarskiego dr Reszelowa obecnie przyjmuje ograniczoną ilość pacjentów. Działa również w Sekcji Socjalnej Środowiska „Syrena”.

Lekarz okulista dr Stanisław Stępak przyjął od 1992 roku do 1995 roku — 367 pacjentów okresowo konsultowanych.

Dr Krystyna Włodarska — lekarz społeczny załatwiała lekarstwa nadsyłane z Danii, Francji oraz z darów „Ojca Kolbego”, które przekazywane były komisyjnie chorym członkom AK. Dr Włodarska działa w Sekcji Socjalnej Środowiska „Syrena”.

Komitet Opieki Społecznej

W Domach Opieki Społecznej przebywają 3 osoby (w tym jedna na przekazaniu do innego Domu Opieki Społecznej).

Pomocy finansowej nie otrzymano dla nikogo. Na negatywne podkreślenie zasługuje fakt, że wnioski o pomoc kierowane przez członków SZŻAK do Wydziału Opieki Społecznej pozostawały bez odpowiedzi i nie przeprowadzano nawet wywiadów środowiskowych.

Prace socjalne poszczególnych środowisk

Sekcja Socjalna Środowiska „Jodła”, „Ostra Brama”, „Pałac”, „Syrena”, „Knieje” działają bardzo prężnie, inne — w miarę możliwości i ilości członków mogących i chcących współpracować.

Sekcje Socjalne kół: „Ostra Brama” Piła i „Pałac” wykazywały szczególną współpracę z Polakami na Wschodzie, przysyłając mundury harcerskie, książki, narzędzia rolnicze i ogrodowe, lemiesz (kilkaset kg), urządzały koncerty i imprezy kulturalne podczas wspólnych wyjazdów na tereny wschodnie.

Wszystkie Środowiska SZŻAK urządzały we własnym zakresie uroczystości z okazji świąt Bożego Narodzenia i świąt wielkanocnych.

Zorganizowano również przy pomocy koleżanek i kolegów wszystkich środowisk akowskich w sali „Herbowej” Urzędu Wojewódzkiego imprezę kulturalno-rozrywkową pt. „Śpiewne spotkanie” dla niepełnosprawnych i samotnych członków AK. Miłą i serdeczną imprezę urozmaicił pięknym śpiewem pieśni patriotycznych i partyzanckich

męski chór „Białe Orły”, którego założycielem i prezesem jest p. Zbigniew Krajewski, serdeczny przyjaciel i sympatyk AK. Do wspólnie śpiewanych pieśni akompaniował uczeń Liceum Muzycznego Piotr Michalski, któremu pięknie dziękują wszyscy uczestnicy tego koncertu.

W ramach spotkań kulturalnych zorganizowano w Teatrze Polskim operę „Krakowiacy i Górale”, na którą żołnierze Armii Krajowej otrzymali — z inicjatywy dyrektora Liceum Muzycznego w Poznaniu — bezpłatne bilety. Również na koncert kolęd w wykonaniu Chóru Filharmonii Poznańskiej pod dyr. prof. Stefana Stuligrosza otrzymaliśmy kilkadziesiąt bezpłatnych biletów.

Zarząd Okręgu Wielkopolska ŚZZAK oraz Komisja Socjalna dziękują serdecznie wszystkim kol. kol. lekarzom: dr Irenie Reszel, dr Krystynie Włodarskiej, dr Marii Drewsowej, dr. Edwardowi Tkaczykowi, dr. Stanisławowi Stępakowi, dr. Janowi Górskiemu oraz wszystkim koleżankom i kolegom, którzy okazali życzliwość i serdeczną pomoc naszym chorym i potrzebującym opieki członkom ŚZZAK w czasie pełnienia społecznej służby akowskiej.

Opracowała W.D.

4.3. Kronika żałobna

W ostatnim czasie zmarli następujący żołnierze Polskiego Państwa Podziemnego, związani z Wielkopolską i Światowym Związkiem Żołnierzy Armii Krajowej:

- 1) MARIA PLEWIŃSKA ps. „Iskra” z Okręgu ZWZ — AK Lublin, Obwód Kraśnik, Placówka Gorzków, Członek Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.
- 2) WŁADYSŁAW RUMINOWICZ ps. „Zakręt” z Bojowej Organizacji „Wschód” oraz Okręgu AK Białystok. Członek Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.
- 3) STANISŁAW DERECKI ps. „Gawron” z Okręgu ZWZ — AK Lublin, Obwód Chełm, Placówka Cyców. Członek Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.
- 4) WACŁAW MODZELEWSKI ps. „Zawada” z Okręgu ZWZ — AK Lublin, komendant Miasta Lublina i II Obwód. W.S.O.P. Członek Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.
- 5) JÓZEF MALESZA ps. „Głaz” z Okręgu ZWZ — AK Lublin, Obwód Radzyń, Rejon 5 Międzyrzecz. Członek Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.
- 6) STANISŁAW SŁOTYSIAK ps. „Liść” z Okręgu ZWZ — AK Lublin, Obwód Małków, Rejon Cyców, Placówka Nowy Stręczyn. Członek Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.
- 7) TADEUSZ CICHON ps. „Jesion” z Okręgu ZWZ — AK Lublin, Obwód Zamość, Placówka Brody Małe i 9 p.p. AK. Członek Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.
- 8) KAZMIMIERZ DĄBROWICZ ps. „Mrówka” z Okręgu AK Lublin, Obwód Kraśnik, Oddział „Urszula”. Członek Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.

- 9) ZDZISŁAW CHUDZIŃSKI z Wojskowej Organizacji Ziemi Zachodnich w Poznaniu — Grupy „Jeżyce”, od VII 1940 roku do IV 1945 roku więzień polityczny. Członek Środowiska WOZZ w Poznaniu.
- 10) ZDZISŁAW SZYMCZAK ps. „Michał” z Okręgu AK Poznań, Obwód Jarocin, pluton „Marka”. Prezes Koła ŚZZAK w Jarocinie.
- 11) STEFAN ZALEWSKI ps. „Strzala” z Okręgu AK Lublin, Obwód Hrubieszów, Oddział „Wiktora” w Placówce Miśliczewo, Członek Koła ŚZZAK w Wałczu.
- 12) TADEUSZ DZIĘCIOŁ ps. „Wacław” z Okręgu AK Łódź, Obwód Radomsko, Oddział „Warszyca”. Członek Koła ŚZZAK w Dziadowej Kłodzie.
- 13) JADWIGA BEDNAROWSKA ps. „Jaskółka” z Okręgu AK Białystok, Insp. Rejon. Grodno, Obwodu Niemen Lewy VI. Członek Koła ŚZZAK w Wałczu.
- 14) WACŁAW DREGER ps. „Przybylski”, „Migacz” z Okręgu AK Poznań, Insp. Rejon. Wągrowiec, Obwód Chodzież, Członek Koła ŚZZAK w Chodzieży.
- 15) KAZIMIERZ NIEZBORAŁA ps. „Kłos” z Okręgu AK Warszawa, Obwód Radzyń Podlaski i Obwód Węgrów, Placówka Grabów „Smola”. były prezes Koła ŚZZAK w Chodzieży.
- 16) ALEKSANDER WITKOWSKI ps. „Gospodarz” z Okręgu AK Wilno, 13 Brygady „Jaremy”. Członek Koła ŚZZAK w Trzciance.
- 17) ANNA KOWALSKA ps. „Anka” z Okręgu AK Kraków. Członek Środowiska ŚZZAK „Wierchy” w Poznaniu, członek Społecznego Komitetu Redakcyjnego Biuletynu Informacyjnego ZO Poznań.
- 18) FLORIAN WIŚNIEWSKI ps. „Lolek” z Okręgu AK Kraków, Obwód Jasło, Placówka Dębowiec. Wiceprezes Zarządu Oddziału ŚZZAK w Kaliszu.
- 19) ALOJZY KRAJEWSKI ps. „Zezowaty” z Okręgu ZWZ — AK Lublin, żołnierz „Kedywu”, d-ca zwiadu Oddziału Partyzanckiego „Zenona”, prezes Środowiska „Knieje” ŚZZAK w Poznaniu.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

**Wydawca: ŚWIATOWY ZWIĄZEK ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ — ZARZĄD
OKRĘGU WIELKOPOLSKA**

al. Niepodległości 18 p. 330, 61-714 Poznań, tel. 696-918 Konto PKO I O Poznań nr 63-513-9436-132

Społeczny Komitet Redakcyjny:
Witold Józwiak, Witold de Mezer, Janusz Sławek, Jerzy Żurkowski